O Katyniu (str. 3) Ludzki blask profesora Sedlaka (str. 6)
Dlaczego nie chciano wydawać „Ogniem i mieczem" (str. 7)
Ostrożna szczerość korespondenta Sinhua (str. 8-9)

„Kamena" przyjmuje ogłoszenia!

— Najniższe ceny
— Krótkie terminy
— Niekonwencjonalne formy
— Dwa tygodnie w kioskach
— Zasięg ogólnopolski

Oferty przyjmują biura ogłoszeń i urzędy pocztowe w całym kraju. W Lublinie — Biuro Ogłoszeń, ul. Rybna 13, tel. 214-23.

PL ISSN 0137-7108 Nr ind. 362514

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

NR 11 (909) 29 maja 1988 Cena 35 zł

Żal za utraconą niewinnością

Andrzej W. Pawluczuk

CZYTANIE Miłosza nie dostarcza łatwej satysfakcji komuś, kto para się nad Wisłą pisaniem. Miłosz wyznacza bowiem literaturze i pisarzom niezwykle wysoki próg intelektualny i moralny, wymagając mądrości i zrozumienia własnego czasu. Poeta jest dla niego nie tylko tym, który wie inaczej. On powinien wiedzieć lepiej w odniesieniu do tych wszystkich rzeczy, które czynią ludzkie życie sensowne i godne istnienia. Mądrość, sens, wartość. Ale czymże są te stare i znane wszystkim słowa, które przez książki ostatnich dwóch dziesięcioleci przemykają jakby chyłkiem i ze świadomością, że nie przystają do dzisiejszej epoki? Dodajmy zatem do owej triady czwarte Miłoszowe słowo-klucz: wierność, co wiele wyjaśni. Poeta ma być bowiem, surtout, wierny ludziom, z którymi łączy go wspólnota języka. To oczywiście oznacza nie tylko mowę ojczystą, lecz historię i teraźniejszość jako doświadczenie i zrozumienie wspólnego losu.

Cztery lata temu pisałem w swojej książce „Rozbiory", że znaczna część powojennej literatury, szczególnie zaś tzw. młoda powieść lat siedemdziesiątych, przeniknięta jest zdecydowaną odmową zrozumienia nadwiślańskiej rzeczywistości. Udokumentowałem tę tezę wyczerpująco. Oprócz analizy utworów przywołałem wypowiedzi kilku pisarzy, którzy uważali takie stanowisko nie tylko za dopuszczalne, ale — jedynie możliwe, a zatem usprawiedliwione jako konieczny wynik naszego czasu.

Na przykład znany pisarz średniego pokolenia stwierdzał w roku 1972, że pióro z ręki wytrąca mu napór wiedzy naukowej i ideologii. Ich opis świata jest tak dalece kompletny i fachowy, że pisarz-dyletant musi poczuć swoją niekompetencję i zbędność. Młodszy odeń o 20 lat krytyk uważał dla odmiany (w roku 1980), że jemu i jego rówieśnikom brakuje „znaczącego przeżycia pokoleniowego". Źródłem wartościowej literatury byłby, w myśl tego przekonania, dopiero jakiś poważny kataklizm polityczny lub historyczny, gdyż tylko wstrząs otwierać ma na rzeczywistość wszystkie zmysły i uruchamiać intelektualne zdolności sądzenia. Autorem trzeciego wyznania jest pisarz, który dobiega dzisiaj czterdziestki, a wypływał na fali „czytelnikowskich" debiutów w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Jego diagnoza, będąca opisem postawy pokolenia, brzmiała: piszemy tak, a nie inaczej, ponieważ świat wydaje się coraz bardziej niedostępny dla naszego zrozumienia. Było to powiedziane we wrześniu 1981 roku, co warte jego podkreślenia. Ktoś, dla kogo polska rzeczywistość była wówczas niepojętnym chaosem, mu-

Ciąg dalszy na str. 6—7

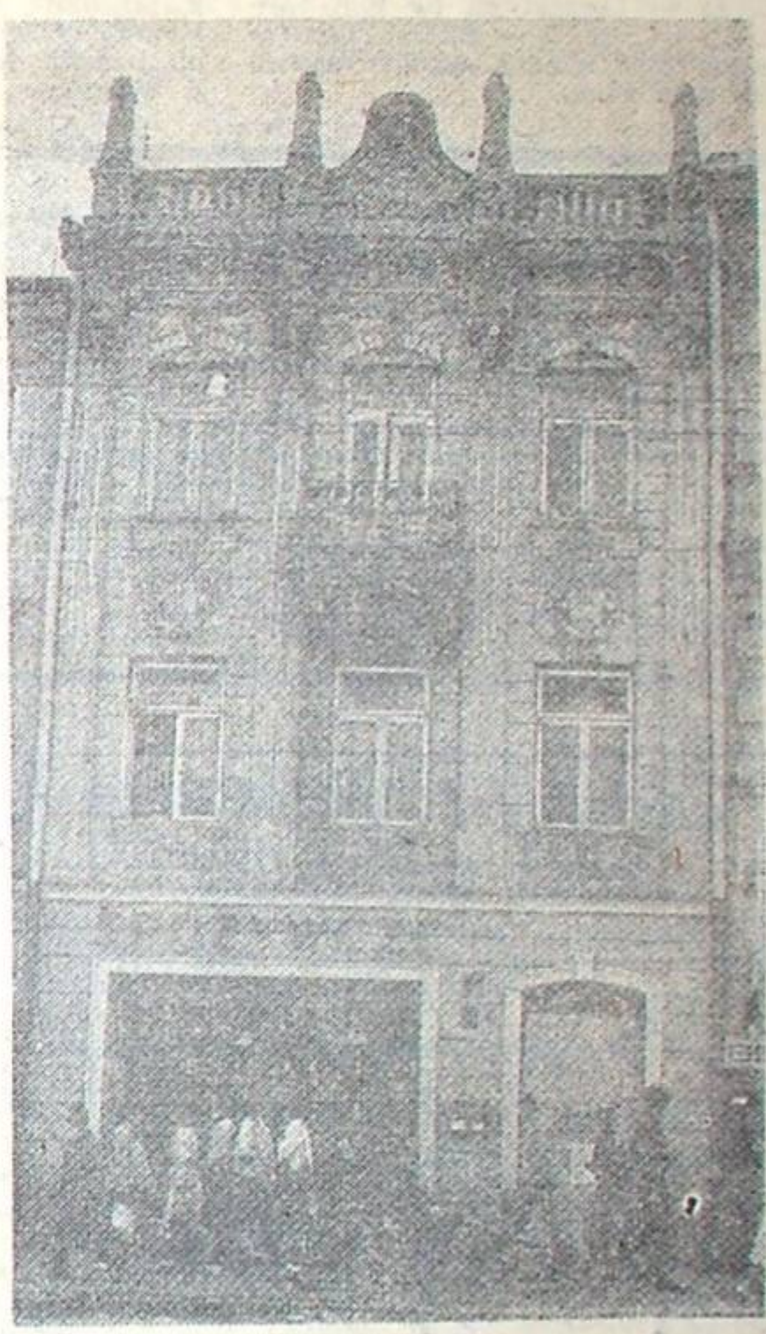

Kamienica przy Krakowskim Przedmieściu 24. O lubelskiej secesji str. 10.
Fot. Przemysław Ostrzyżek

Legenda i życie „Wira"

Mirosław Derecki

POD datą 2 marca 1943 r. dyrektor szpitala w Szczebrzeszynie dr Zygmunt Klukowski, lekarz i historyk, zanotował w swoim okupacyjnym dzienniku:

„Opowiadano mi trochę szczegółów o zajściach w Józefowie. Aresztowano tam młodego komendanta rejonu AK, ps. „Wir" Konrada Bartoszewskiego, syna lekarza weterynarii, który przed wojną praktykował w Zamościu, a wraz z nim jeszcze jakiegoś młodzieńca, podobno byłego oficera. Osadzono ich w areszcie gminnym. Wywieźć ich nie zdążyli, bo przyszli ludzie z lasu i obydwóch odbili. Wówczas zjechała tu większa liczba Niemców, aresztowano całą rodzinę Bartoszewskich — starego weterynarza z żoną i dorosłą córką. Wszystkich troje rozstrzelano na rynku, na oczach spędzonej ludności".

Po dziś dzień opowiada się na Roztoczu o tym, jak „Wir" patrzył z daleka, z wysokości wzgórz górujących nad Józefowem Biłgorajskim, na śmierć swoich najbliższych. I jak, z rozdartym sercem, nie pozwolił jednak swoim żołnierzom ruszyć do ataku, na ratunek. Zdawał sobie sprawę, że w takim wypadku nieunikniona będzie w odwecie niemiecka karna ekspedycja, która sprawi, że osada zostanie spalona, a jej mieszkańcy wymordowani do ostatniego.

Historia — na miarę greckiej tragedii.

Naprawdę wypadki miały nieco inny przebieg, ale czy to ważne dla opowiadających? „Wir" jest legendą tamtych terenów, a legendy rządzą się swoimi prawami.

Legenda porucznika „Wira", jednego z najsłynniejszych partyzantów Zamojszczyzny, komendanta rejonu AK w Józefowie Biłgorajskim, dzielnego dowódcy oddziału partyzanckiego oraz oficera, który po dramatycznych walkach w Puszczy Solskiej w drugiej połowie czerwca 1944 r. potrafił wyprowadzić resztki zgrupowania AK mjr. „Kaliny" z niemieckiego okrążenia — ta legenda miała przecież pełne oparcie w faktach.

Uważany jest Konrad Bartoszewski za jedną z najpiękniejszych postaci polskiego ruchu oporu. Lecz był zarazem jednym z przedstawicieli pokolenia, dla którego pookupacyjny rozdział historii Polski miał swój wyjątkowo dramatyczny, często tragiczny wymiar. Należał — choć nieco starszy wiekiem — do formacji ideowo-politycznej Maćka Chełmickiego. Jego pookupacyjne drogi jakby krzyżowały się na swój sposób ze szlakami bohaterów „Popiołu i diamentu". Z tą jednak różnicą, że Maciek Chełmicki zginął, a „Wir" przeżył, i żył jeszcze lat ponad czterdzieści.

W ciągu tych kilku dziesiątków lat wytworzyła się paradoksalna sytua-

Dokończenie na str. 4—5

Wejść za kotarę i skreślić

Rozmowa z Kazimierzem Czerwińskim, wiceprzewodniczącym Miejskiego Kolegium Wyborczego w Lublinie

— Niektórzy twierdzą, że zbliżające się wybory są fikcją, inni znowu, że to jest postęp demokracji. A pan co twierdzi?

— Zmiana polega na tym, że teraz obywatel, jeśli chce mieć wpływ na obsadę radnych w swojej gminie, dzielnicy czy mieście, musi wejść za kotarę i skreślić jedno czy dwa nazwiska z listy. Dla kandydatów na radnych posiada to oczywiście znaczenie mobilizujące. Ponieważ nie ma gwarancji wyboru, muszą się godnie i przekonywająco zaprezentować wyborcom. I to jest pewien postęp demokracji. Natomiast pod względem układu politycznego zmiany nie ma.

— To znaczy?

— Nadal obowiązuje klucz w obsadzaniu mandatów radnych i pod ten klucz zostały sporządzone listy kandydatów, a przedtem jeszcze typowanie osób przewidzianych na kandydatów.

— Jaki jest ten „klucz" i kto go ustalił? Mówmy na przykładzie Lublina.

— Przyszła Miejska Rada Narodowa w Lublinie będzie liczyła 120 radnych, przy czym 55 mandatów ma zagwarantowanych PZPR, 14 — SD, 8 — ZSL, 43 — bezpartyjni (w tym 4 — Pax, 3 — ChSS, 3 — PZKS). Tak zostało ustalone między sygnatariuszami PRON w mieście.

— Kto typował ludzi „przewidzianych na kandydatów", ilu ich było, kto to był oraz ilu ostatecznie wyłoniono kandydatów?

— Poza sygnatariuszami PRON zgłaszały organizacje społeczne i zawodowe, zakłady pracy i zebrania obywatelskie organizowane przez samorządy mieszkańców. Zarejestrowaliśmy łącznie 627 osób, wśród nich 342 członków PZPR, 43 — SD, 30 — ZSL, 212 — bezpartyjnych (w tym 15 członków PAX, 10 — PZKS, 8 — ChSS). Zgłoszono 152 kobiety, 41 osób w przedziale wieku do 29 lat, 62 robotników, 3 rolników, 54 radnych obecnej kadencji...

— Już z tego widać, że zanosi się w Lublinie na miejską radę starszych panów inteligentów.

— Chyba tak, ale to nie musi być złe. Nasze Kolegium postanowiło umieścić na listach 360 kandydatów na radnych, czyli do każdego mandatu pretendują 3 osoby, co pozwala maksymalnie wykorzystać możliwości wyboru, jakie stwarza nowa ordynacja.

— Przedtem były spotkania konsultacyjne. Jak one wypadły?

— Wszystkie osoby proponowane na kandydatów zostały przedstawione. Kłopot, że frekwencja na tych spotkaniach była dosyć mizerna, jeśli idzie o wyborców, a dyskusja raczej niemrawa. Wiem, że lepiej pod tym względem wyglądała sytuacja w gminach i małych miastach. Gorzej w Lublinie. Generalnie trzeba powiedzieć, że bardzo słabo interesuje się wyborami młodzież. Można się tylko pocieszać, że spotkania z kandydatami na radnych wypadną korzystniej.

— Mamy nową, bardziej demokratyczną ordynację wyborczą, która sprawia, że wybory w Polsce wreszcie zaczynają się różnić od plebiscytu, i to jest jakiś krok na drodze do upodmiotowienia społeczeństwa. Ale istniejąca ustawa o radach narodowych budzi sporo zastrzeżeń.

— Przede wszystkim ordynację trzeba reformować z myślą o następnych wyborach. Na przykład wprowadzić przepis, że aby wybory były ważne, powinna pójść do urn co najmniej połowa uprawnionych do głosowania. Ponadto obywatele powinni mieć skuteczniejsze możliwości zgłaszania kandydatów. O ile wiem, trwają prace nad nową ustawą o radach narodowych.

— Zresztą nad ustawą o stowarzyszeniach również i być może jeszcze przed wyborami obie te ustawy zostaną przyjęte w Sejmie. Wszystko są to jakby fragmenty większej całości pod nazwą: potrzeba naprawy Rzeczypospolitej. Dla mnie jednak sprawa zaczyna się od pytania, gdzie tkwią możliwości udrożnienia gospodarki i jak je uruchomić?

— A także jaka jest faktyczna perspektywa odczuwalnej poprawy warunków życia społeczeństwa? I czy nie powinno się mówić wyraźniej, że czekają nas wpierw lata chude?

— Siedem lat chudych, które trzeba wytrzymać, aby mogły nastąpić lata tłuste?

— Daj Boże!

Rozmawiał: M. Podgórski

Wybory zamiast nominacji

W CSRS nie było dotychczas doświadczeń związanych z wybieralnością pracowników aparatu gospodarczego w przedsiębiorstwach państwowych. Od jesieni 1987 roku są one stopniowo nabywane w drodze praktycznych eksperymentów. W ich ramach wybierani są dyrektorzy i inni pracownicy kierownictwa przedsiębiorstw, jak również rady samorządów pracowniczych.

W publicznej dyskusji nad projektem ustawy o przedsiębiorstwie państwowym wysunięto wątpliwości, czy wykaz wybieralnych funkcji winien obejmować także mistrzów. Mimo to poczynione już zostały próby z wyborem na to stanowisko.

W spółdzielni rzemiosła artystycznego „Vamberecká krajka" (koronkarstwo) w północnych Czechach mistrza wielkiej pracowni wyłoniono w drodze konkursu. Zarząd spółdzielni ważył decyzję, czy na zwolnione stanowisko mianować świeżo upieczoną absolwentkę technikum odzieżowego czy też którąś z dotychczasowych pracownic. Ostatecznie postanowiono, aby załoga sama dokonała wyboru. Większością 2/3 głosów wybrana została Jarmila Tomanova, która w spółdzielni pracuje już kilka lat. Również w hucie szkła „Bohemia" w Poděbradach przeprowadzono wybory mistrzów.

Więcej doświadczeń wiąże się z wyborami dyrektorów zakładów pracy. Już w październiku 1987 roku drogą wyborów obsadzono stanowisko dyrektora zakładów „Kozmetika" w Bratysławie. Załodze, która w 3/4 składa się z kobiet, przedstawiło się trzech kandydatów. Z 220 ważnych głosów 108 oddano na 29-letniego inżyniera Frantiska Maćugę. Następny kandydat otrzymał 104 głosy, a 8 osób głosowało na 33-letnią inżynier.

W dyskusji nad projektem ustawy o przedsiębiorstwie państwowym żywiono obawy, czy pracownicy nie będą preferowali mniej wymagających kierowników. Na podstawie dotychczasowych doświadczeń należy sądzić, że obawy te nie są uzasadnione. W nowym mechanizmie gospodarczym kolektywy pracownicze są o wiele bardziej zainteresowane prosperowaniem przedsiębiorstwa czy zakładu, głosują więc na doświadczonych organizatorów i dobrych fachowców, którzy nie ukrywają, że wymagać będą przestrzegania dyscypliny pracy i dbałości o porządek na stanowiskach pracy. Wśród wybranych dyrektorów znajdują się zarówno komuniści jak i bezpartyjni.

(Agencja Prasowa ORBIS)

Listy do KAMENY

Szanowny Panie Redaktorze!

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem artykuł zamieszczony w 7 numerze tegorocznej „Kameny", poświęcony Janowi Zamoyskiemu. Dobrze się stało, że wreszcie po tylu latach pokazana została prawda o niesprawiedliwościach i wręcz przestępstwach popełnionych w stosunku do tego zacnego i osobiście mi znanego człowieka, do którego żywię szacunek, sympatię i osobistą wdzięczność.

Zabieram głos jako wieloletni redaktor, pracujący w gazecie „Rynki Zagraniczne" od chwili jej powstania w kwietniu 1957 roku, a także były redaktor naczelny tego pisma (1972—77). Otóż podpisując się w pełni pod zawartą w tym artykule informacją o przymusowym odejściu pana Zamoyskiego z „Rynków", nie mogę jednak przejść gwoli prawdy do porządku dziennego nad tym fragmentem akapitu, w którym autor artykułu p. I. J. Kamiński twierdzi, iż: „Po trzech latach redakcję rozwiązano, odczekano dni dziesięć, a następnie powołano całkowicie nowy zespół doceniający wreszcie znaczenie orientalnej polityki ekonomicznej".

Informacja ta jest nieprawdziwa. „Rynki Zagraniczne" nie były nigdy rozwiązane, a zespół z drobnymi zmianami kontynuował pracę aż do lat siedemdziesiątych, kiedy to zaczęto odchodzić na emeryturę. Nie było też żadnych istotniejszych zmian w polityce redakcyjnej, nastawionej w 90 procentach m. in. z uwagi na bogactwo źródeł, na informowanie o światowym rynku kapitalistycznym.

Dr Tadeusz Zieliński
Warszawa,
ul. Świerczewskiego 159 m. 67

Rys. Tomasz Wilczkiewicz

KRONIKA KULTURALNA

■ „Wkład Polonii w odzyskanie przez Polskę niepodległości w 1918 r." to tytuł sesji naukowej, która odbyła się w Lublinie (19—21 maja), w gmachu przy pl. Litewskim 3, gdzie 5 listopada 1918 r. proklamowano Królestwo Polskie. Sesję zorganizowały krajowe instytucje polonijne, w tym lubelskie PCKO, jej gospodarzem był UMCS.

■ Maciej Bijas z Lublina otrzymał II nagrodę w ogólnopolskim konkursie „Parafrazy malarskie tematu kosmos — materia", ogłoszonym przez Centrum Sztuki — Galerię EL w Elblągu. Artysta był też laureatem dwóch wcześniejszych edycji konkursu (1983, 1985).

■ Na Zamojszczyźnie powstały pierwsze parki krajobrazowe: Krasnobrodzki (tymczasem 9250 ha) i Puszczy Solskiej (ponad 21 000 ha). Projekty i dokumentację tych terenów opracowano w lubelskim Instytucie Gospodarki Przestrzennej i Komunalnej.

■ Program III Lubelskich Spotkań Gitarowych (15—10 maja) obejmował koncerty wybitnych wirtuozów oraz seminaria, prelekcje, pokazy filmów video. Grano w Filharmonii, dyskutowano w siedzibie Tow. Muzycznego im. H. Wieniawskiego.

■ W pierwszej połowie maja lublinianie mieli okazję uczestniczyć w imprezach III Tygodnia Kultury Francuskiej, zorganizowanych przez ambasadę Republiki i Alliance Francaise przy UMCS. Natomiast w drugiej połowie owego miesiąca odbyła się na Zamojszczyźnie „Panorama Kultury Czechosłowackiej" (wystawy, koncerty, kiermasze rzemiosła artystycznego, spotkania z ludźmi kultury, nauki), urządzona przez tamtejsze instytucje i Czechosłowacki Ośrodek Kultury i Informacji w Warszawie.

■ Tytułową nagrodę konkursu „Złoty wawrzyn dla twórcy, złoty wawrzyn dla biblioteki" otrzymała biblioteka w Niemcach koło Lublina. Kierowniczce tej placówki, Jadwidze Grochowskiej, nadano honorowy tytuł „Wzorowego bibliotekarza".

■ Władze administracyjne Lublina przekazały Tow. Muzycznemu im. H. Wieniawskiego b. zakład lutniczy Borowieckich przy ul. Królewskiej 6. Nowy użytkownik lokalu zamierza kontynuować dobre tradycje słynnej firmy, starając się tymczasem o zgodę spadkobierców na umieszczenie w szyldzie nazwiska Kazimierza Borowieckiego.

■ Od 6 maja w lubelskiej Małej Galerii Grafiki czynna jest bardzo interesująca wystawa drzeworytu sztorcowego Jadwigi Smykowskiej z Cieszyna, natomiast od 27 maja w BWA Białej Podlaskiej można oglądać pokonkursową wystawę grafiki „Źródło '88". Tej ostatniej imprezie patronuje kilka krajowych organizacji, działających w sferze kultury ludowej oraz MKiS.

■ „Artysta wszedł na salę ubrany od stóp do głów" — donosi recenzentka „Tygodnika Chełmskiego", omawiając wystawę 10 rzeźb Jerzego Beresia w Galerii 72. Wzmianka o przyodziewku wiąże się z faktem, że artysta najchętniej występuje nago.

Red. TADEUSZOWI JASIŃSKIEMU — w związku z przejściem na emeryturę — życzenia zdrowia i owocnej pracy twórczej składają

koleżanki i koledzy
z „Kameny"

ZNALAZŁY tu swój DOM. Pochodzą z całego kraju. Z różnych środowisk. Są takie, które na swej krótkiej, ale już niełatwej drodze zaliczyły po kilka Domów Dziecka. Te stwarzają największe kłopoty. Nierzadko muszą nadrabiać kilkuletnie zaniedbania wychowawcze i opóźnienia w nauce. Sprawiają swym opiekunom najwięcej zmartwień. Trzeba wykorzenić złe nawyki wyniesione z domów rodzinnych, będących najczęściej pijackimi melinami, czy z poprzednich miejsc pobytu. Inne przybyły tu wprost z placówek pogotowia opiekuńczego, obarczone są stresami i kompleksami innego typu. One przede wszystkim najboleśniej przeżywają rozłąkę z poprzednim środowiskiem.

Tylko najmłodsze — kilku- lub kilkunastomiesięczne — odebrano z domów małego dziecka. Te rokują największe nadzieje. Ich charaktery wykrystalizują się w całkiem innej atmosferze, od początku w sposób prawidłowy, bez kompleksów i obciążeń psychicznych.

W Wiosce Dziecięcej SOS w Biłgoraju przebywa obecnie sto i troje dzieci w różnym wieku i różnej płci. Tu dzieci wychowują się w środowisku zbliżonym do naturalnego, jakby w rodzinie. Takie jest założenie tych placówek opiekuńczych. Na całym świecie.

Wioska Dziecięca SOS w Biłgoraju funkcjonuje od 5 lat. 12 sierpnia 1983 roku przyjęła pierwszych lokatorów. Przybyło tu dziewięć opiekunek, które w Wioskach SOS nazywa się matkami, i ponad trzydzieścioro dzieci. Przyjechały wprost z kolonii letnich w Jeleniej Górze, gdzie w czasie zabaw i odpoczynku, w sposób najbardziej naturalny dokonał się pierwszy wybór. Wychowawczyń i dzieci. Przylgnęły do

W rok po podpisaniu polsko-radzieckiej deklaracji o współpracy w dziedzinie ideologii, nauki i kultury odbyło się w Moskwie sympozjum historyków i filmowców polskich i radzieckich na temat: „Kino historyczne — od tabu do jawności". W miesiąc po tym spotkaniu LITIERATURNAJA GAZIETA opublikowała fragmenty stenogramu z dyskusji na sympozjum. Ze strony polskiej uczestniczyli w niej historycy: Andrzej Werner i Kazimierz Żurawski, zaś ze strony radzieckiej historycy: N. Ejdelman, W. Parsadanowa, W. Michutina oraz A. Łatyszew. Poniżej tekst tej publikacji w skrócie.

A. Werner: Wszyscy wiemy, że od kilku miesięcy zbiera się mieszana komisja polsko-radziecka, która zajmuje się wyjaśnianiem „białych plam". Do naszej wiadomości doszło jedno: najwięcej różnic zdań powstało wokół problemu Katynia. Z wielu powodów sprawa ta jest szczególnie ważna. Ważna jest ona nie tylko dlatego, że dokonany został mord na kilku tysiącach Polaków, ale także dlatego, że wiadomość o tej zbrodni odegrała nadzwyczaj ważną rolę w stosunkach między sojusznikami w okresie II wojny światowej.

Roosevelt i Churchill, a także zachodnia opinia publiczna, woleli wierzyć w zapewnienia Stalina i pójść na zerwanie stosunków z rządem polskim. W rezultacie pośrednio wpłynęło to również tragicznie na losy wielu Polaków znajdujących się na terytorium Związku Radzieckiego. W konsekwencji także w Jałcie nikt już nie chciał nic na ten temat nawet wspominać. Oto dlaczego katyńska zbrodnia jest dziś najważniejszą ze wszystkich istniejących „białych plam".

Dlaczego o Katyniu trzeba powiedzieć całą prawdę, dlaczego nie może być żadnych przemilczeń? Wymienię trzy przyczyny: po pierwsze dlatego, że tak było. Jest to nasz dług moralny wobec prawdy i wobec tych, którzy tam zginęli. Druga przyczyna — ujawnienie prawdy jest niezbędnym warunkiem zaufania. Wielkie wrażenie wywarło na nas oświadczenie profesora Jurija Afanasjewa, który po raz pierwszy wypowiedział się na temat Katynia. Jest wreszcie i trzecia przyczyna. Nie ma nic prostszego, niż podrzucić społeczeństwu, które żyje ze świadomością urazu — jakiś surogat prawdy. Coś takiego może jednak zrodzić ksenofobię i szowinizm.

W. Parsadanowa: Ja nie zajmuję się problemami Katynia, ale mogę powiedzieć, że o źródła katyńskie jest równie trudno, jak i o materiały dotyczące deportacji. Powiedziano tu: otwórzcie wszystkie źródła. Ale przecież, zgodnie z zasadami archiwalnymi, nie wszystkie materiały mogą być ujawnione. Dokumenty przekazywane są do archiwów po określonym czasie i nie zawsze termin ten już upłynął. Wiele zaginęło, także w okresie wojny.

Nie popędzajcie historyków, oni pracują uczciwie. I nie wyciągajcie nazbyt pospiesznych wniosków. Trzeba myśleć i o przyjaźni, o naszym sojuszu, trzeba orientować się na to, co nas łączy. Jeśli natomiast trzeba będzie spłacić dług moralny, to uczynimy to. W każdym razie komisja pracuje normalnie. Punktów wspólnych jest więcej, niż mówią o tym różne rozgłośnie i pisze się w prasie zachodniej.

W. Michutina: Wydaje mi się, że dla historyka, a także dla działacza kultury, konkretne fakty historyczne, o których dzisiaj mówiliśmy i które wywołują wiele emocji — nie są problemem. Powołane zostały odpowiednie organa, mające dostarczyć materiałów, na podstawie których można będzie przedstawić prawdziwy obraz historii.

Powiedziano tu wiele słów o Wrześniu 1939 r. Okresu tego nie można jednak rozpatrywać w oderwaniu od tego, co było wcześniej. Trzeba przyznać, iż w stosunkach między ZSRR i Polską istniał wzajemny strach. U nas pamiętano, że to armia polska okupowała Kijów w 1920 r. Następnie — po podpisaniu polsko-niemieckiego układu z 1934 r. — w dyplomacji radzieckiej ugruntowało się przekonanie, że układ ten zawiera również tajne artykuły wymierzone przeciw Związkowi Radzieckiemu. W świetle tego układ między Niemcami i ZSRR był środkiem ostatecznym.

Kilka lat temu udało mi się po raz pierwszy przyjechać do Krakowa — jednego z najpiękniejszych miast europejskich. Przypomniałam sobie wówczas, że przepiękny Kraków został uratowany od zniszczenia za cenę życia tysięcy moich rodaków, ale nie ma tam ani jednej tablicy ku czci ich pamięci. Nie trzeba wiele. Wystarczy, że na którejś z ruchliwych ulic wywiesi się tablicę z informacją, ilu ludzi zapłaciło swoim życiem, aby uratować to miasto.

N. Ejdelman: Nie jest tajemnicą, że rozmowy z Niemcami prowadziliśmy od 1934 r. Była to sprawa dostatecznie dobrze znana. Obecnie znane są również osoby, które prowadziły te rozmowy. Można więc powiedzieć, że układ radziecko-niemiecki z 1939 r. nie powstał w ciągu jednego tygodnia.

W. Michutina: Trzymam się realnych faktów. Nasz komisarz ludowy ds. stosunków zagranicznych — Litwinow jednoznacznie stwierdził, że po 1933 r. nie może być żadnych idyllicznych stosunków z Niemcami. Chciałabym też przypomnieć, że dopóki kierował on radziecką polityką zagraniczną — nie było żadnych negocjacji z Niemcami. Jest to fakt absolutnie realny i nie ma po co wymyślać tu jakichś tajnych rozmów.

N. Ejdelman: Litwinow nie był głową państwa radzieckiego. Chodzi o rozmowy, które prowadzono niezależnie od Litwinowa, w imieniu Stalina.

W. Parsadanowa: Najbardziej prawdopodobną alternatywą, do której zresztą w tamtym czasie dążył Związek Radziecki, było zawarcie porozumienia i nawiązanie stosunków z Polską. Polska nie chciała jednak takich kontaktów i nie życzyła sobie radzieckiej pomocy. Odpowiednie dokumenty w tej sprawie są w posiadaniu Związku Radzieckiego i były one opublikowane na Zachodzie. Nie wierzyliśmy sobie nawzajem i Związek Radziecki nie miał innego wyjścia.

[...]

A. Łatyszew: Rok 1920. Jestem pewien, że była to agresja ze strony Piłsudskiego. Najpoważniejszym błędem była natomiast ofensywa na Warszawę i Lenin operację tę potępił. Próba zdobycia Warszawy zjednoczyła wszystkie warstwy narodu polskiego. Nie zgadzam się jednak z polskimi historykami, którzy twierdzili, że naszym celem było rozpalenie światowej rewolucji.

Oczywiście jeszcze ostrzej występuje problem represji 1937 r., podczas których zginął kwiat działaczy światowego ruchu komunistycznego. Zbrodni Stalina nie usprawiedliwia tu ani istnienie środowiska drobnomieszczańskiego wewnątrz kraju, ani też okrążenie przez burżuazję. Polscy przyjaciele postawili jednak problem inaczej: w Moskwie — mówią oni — rozstrzeliwują Polaków. Widocznie nie rozumieją oni tego, że była to tragedia całego światowego ruchu komunistycznego.

Z kolei wojna. Obok innych przyczyn nie udało się doprowadzić do podpisania układu między Anglią, Francją i Związkiem Radzieckim także dlatego, że w tym czasie toczyły się otwarte procesy. Doprowadziły one do tego, że wśród znacznej części inteligencji i kół rządzących Zachodu zrodziła się nieufność i niewiara w możliwości zawarcia porozumienia ze Związkiem Radzieckim. Wszyscy okazywali się u nas szpiegami japońskimi i niemieckimi, co przyniosło tylko szkodę naszym rozmowom z Francją i Anglią. Próby podpisania układu z Polską też do niczego nie doprowadziły. Wszyscy upierają się teraz przy istnieniu poufnego protokołu do paktu Ribbentrop—Mołotow. Na całym świecie jest on publikowany z ich podpisami, przy czym ustala się w nim, gdzie i na jakich granicach dana armia powinna się zatrzymać. My nie potwierdzamy tego, ale i nie odrzucamy. Najpierw muszą zostać otwarte archiwa. Dla was i dla nas.

O Katyniu i innych „białych plamach"

Wioski SOS

siebie wzajemnie, aby od tego momentu dzielić już wspólny los.

Wychowawczynie. Na całym świecie nazywa się je matkami. W naszym kraju podobnie. Z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Wioski Dziecięcej SOS w Biłgoraju ich największym świętem uczyniono Dzień Matki. Choć nie zapomina się i o innych uroczystościach, jak Dzień Nauczyciela czy Dzień Kobiet, Dzień Matki jest jednak w Biłgoraju najważniejszy.

Bo właśnie one — MATKI są najważniejsze w tym modelu opieki całkowitej. Są centralnymi postaciami w polskich i światowych placówkach wychowawczych, pozostających pod opieką SOS Kinderdorf International. Od nich przede wszystkim zależy atmosfera w przybranych rodzinach, powodzenie całej koncepcji wychowawczej.

Z wnikliwych obserwacji wynika, że w Polsce, w naszym kręgu kulturowym, założenie to trafiło na bardzo podatny grunt. W okresie gdy na całym świecie rodzina przeżywa poważny kryzys, w naszym kraju, na skutek uwarunkowań historycznych, ma ona nadal szczególne znaczenie w procesie wychowawczym młodego pokolenia. Ponadto głęboko w naszej kulturze tkwi ideał poświęcenia i wyrzeczeń. I to zapewne sprawiło, że na kandydatki do Wioski SOS zgłosiło się ponad tysiąc samotnych kobiet. Drogą bardzo ostrej, wręcz brutalnej selekcji wybrano kilkanaście. Prowadzący rekrutację działacze TPD i wybitni znawcy problemów opiekuńczych — Maria Bronikowska, Zdzisław Filip i Józef Cap — mogą uważać za sukces, że zdołali skompletować tak doskonałą kadrę do Wioski SOS w Biłgoraju. Zresztą w ocenie austriackich sponsorów całego przedsięwzięcia właśnie taki system, polegający na nadzwyczaj ostrej selekcji, uznany został za jeden z najlepszych.

Wielokrotnie miałem okazję rozmów z matkami z biłgorajskiej Wioski. Nie żałują swego wyboru, choć chyba żadna z nich nie przewidziała, że realizacja tego przedsięwzięcia będzie aż tak trudna i odpowiedzialna. Ich zdaniem jednak, jest to szansa na macierzyństwo w innej, nowoczesnej i bardzo społecznie przydatnej formie. Jest to sposób na życie i znalezienie w nim swego miejsca.

Wykonywały przedtem różne zawody. Były nauczycielkami, pielęgniarkami, urzędniczkami. Stały się MATKAMI, traktując swoje zajęcie jako posłannictwo i zawód.

Teoretycy idei Wiosek Dziecięcych SOS — a przede wszystkim jej twórca, prof. Hermann Gmeiner, austriacki lekarz pediatra, oraz jego współpracownik i następca, dr Hansheinz Reinprecht, dziennikarz i pedagog, autor kilku fachowych książek poświęconych pedagogicznym aspektom tych placówek wychowawczych — nie twierdzili nigdy, że to model idealny, nie uzurpowali sobie monopolu na wyłączność. Zdaniem dr. Reinprechta, to pedagogiczny zaczyn, zmuszający do myślenia koncepcyjnego, poszukiwania różnych form opieki nad opuszczonym przez rodziców dzieckiem, które we współczesnym świecie zdane jest wyłącznie na pomoc dorosłych. A koncepcja samotnej opiekunki stanowi jedną z wielu. Ale jak wynika z prawie 40-letnich doświadczeń SOS Kinderdorf International (w przyszłym roku minie 40 lat od otwarcia pierwszej wioski SOS w Imst), we wszystkich Wioskach Dziecięcych SOS, pod wszystkimi szerokościami geograficznymi, we wszystkich kręgach kulturowych i wyznaniowych znaleźć można kobiety bez reszty oddane tej idei i dzieci potrzebujące ich pomocy.

Zapewne na powodzenie owej idei w naszym kraju złożyły się także rodzime tradycje pedagogiczne. Na początku bieżącego stulecia podobną ideę propagowali znani podagodzy — Czesław Babicki i Kazimierz Jeżewski. Zainteresowali oni swymi koncepcjami wybitnych pisarzy i działaczy: Henryka Sienkiewicza, Marię Konopnicką, Elizę Orzeszkową, Kazimierza Bartela (naukowca i premiera rządu), którzy patronowali powstającym wówczas wioskom dziecięcym, nazywanym „wioskami sierocymi" lub „kościuszkowskimi". Od nawiązania do tej idei rozpoczęło się zresztą jej propagowanie w naszym regionie na początku lat siedemdziesiątych, a inicjatorami byli Maria Berzyńska, Krystyna Kucharska, a przede wszystkim Czesław Śmigielski, działacz Towarzystwa Przyjaciół Dzieci z Koła im. K. Jeżewskiego w Kraśniku.

Dzisiaj, po raz wtóry, powraca się do tej koncepcji. Korzystając z doświadczeń Wioski SOS w Biłgoraju, postanowiono rozpocząć starania o budowę drugiej takiej placówki — w Kraśniku. Na tych samych zasadach. Przypomnijmy. Istnieją określone kanony Wiosek SOS. Wychowawczyniami są tu samotne kobiety, powszechnie nazywane matkami. Każda „rodzina" mieszka w oddzielnym domku, prowadząc normalne gospodarstwo domowe. Dzieci w przybranych rodzinach są różnej płci i w różnym wieku, z tym że dąży się do łączenia rodzeństw naturalnych. Całość stanowi jedną placówkę opiekuńczą. W wypadku naszego kraju pozostaje ona na utrzymaniu resortu oświaty. W innych krajach jest różnie. W krajach trzeciego świata znajduje się pod finansową opieką SOS Kinderdorf International, które w Polsce subwencjonowało jedynie jej budowę.

Warto podkreślić, że zarówno koncepcją pedagogiczną, jak i funkcjonowaniem Wioski SOS zainteresowali się nasi sąsiedzi ze wschodu i prawdopodobnie w najbliższym czasie dojdzie do wzajemnych kontaktów przedstawicieli SOS Kinderdorf International i działaczy oświatowych z Białorusi i Ukrainy.

25 i 26 maja w naszym regionie odbywają się uroczystości związane z ideą Wiosek SOS. W Kraśniku nastąpi wmurowanie aktu erekcyjnego pod budowę nowej Wioski Dziecięcej SOS, a w Biłgoraju spotkanie z okazji Dnia Matki, tym razem bardziej uroczyste, gdyż zbiegające się z pięcioleciem funkcjonowania tej placówki.

Andrzej Albigowski

Wybić się na niepodległość

Zachód a sprawa polska

Wiesław Śladkowski

Z ODCZYTANIEM użytego w tytule i obiegowego określenia „Zachód" nie ma u nas najmniejszych kłopotów. Wszyscy bowiem Polacy wiedzą, iż idzie tu o Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię i Francję. Natomiast problemem skomplikowanym i wielce kontrowersyjnym jest określenie i ocena roli tak rozumianego Zachodu w jednym z najbardziej epokowych wydarzeń naszych dziejów, jakim było odzyskanie w roku 1918 przez Polskę niepodległości.

„Koalicja zwycięskich mocarstw zachodnich państwo polskie stworzyła, ponieważ dla równowagi europejskiej potrzebne było państwo, które połączeniu Niemiec z Rosją postawiło tamę" — pisał w 1921 r. Michał Bobrzyński. Pogląd o decydującym wpływie Zachodu w dziele odzyskania przez Polskę niepodległości propagowała także w 20-leciu międzywojennym endecja, aby podkreślić rolę Komitetu Narodowego Polskiego i Romana Dmowskiego. Stanowisko to zwalczali piłsudczycy, przeciwstawiając mu apoteozę czynu zbrojnego Legionów. Te też tradycje legły głównie u podstaw rocznicy niepodległościowej obchodzonej 11 listopada, która stała się oficjalnym świętem narodowym w II Rzeczypospolitej.

Gdy po II wojnie światowej uległ zasadniczej zmianie ustrój polityczny i społeczny Polski, na fali bolesnych doświadczeń, samotności Polski, nie wspartej dostatecznie przez Zachód w 1939 r., i odpowiedzialności sanacji za klęskę wrześniową, poddano ostrej i bezpardonowej krytyce obydwie koncepcje, usiłując przekreślić związaną z nimi tradycję. Na plan pierwszy w dziele odzyskania niepodległości wysunięto natomiast nowy czynnik. Był nim wpływ rewolucji rosyjskich, zwłaszcza październikowej.

Pogląd ten, uzasadniany w licznych pracach historycznych, szczególnie propagowano w publicystyce i ideologii. Nie wpłynął on jednak w sposób zasadniczy na przeobrażenia w sferze mentalności i świadomości historycznej społeczeństwa, przywiązanego w dużej mierze do własnych tradycji. Wprawdzie 50-lecie odzyskania niepodległości obchodzone oficjalnie w 1968 r. w naszym mieście, związano z rocznicą utworzenia w Lublinie Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej, obecnie powrócono jednak ostatecznie do tradycyjnej daty — 11 listopada.

WOODROW WILSON: „Mężowie stanu są wszędzie zgodni co do tego, że winna istnieć zjednoczona, niepodległa i autonomiczna Polska" (22 I 1917).

Owo płynące zrazu nurtem podskórnym, a ujawnione w latach osiemdziesiątych starcie nowych interpretacji i resentymentów narodowych wycisnęło także swe piętno na towarzyszących mu po obydwu stronach opracowań historycznych, niewolnych od politycznych tendencji. Równocześnie jednak w badaniach nad genezą II Rzeczypospolitej torował sobie drogę nurt krytyczny, uwzględniający racje narodowe, lecz starający się przezwyciężyć stare i nowe mity oraz uwarunkowania polityczne. Dla jego rozwoju ważka była teza prof. Stefana Kieniewicza o wielu polskich drogach i ścieżkach prowadzących do niepodległości. Z wydarzeniami na arenie międzynarodowej powiązał je prof. Janusz Pajewski w swej znakomitej monografii „Odbudowa państwa polskiego". Dzisiaj mamy na ten temat wiele już prac innych znanych badaczy.

Rozpatrując przyczyny klęsk i niepowodzeń kolejnych polskich powstań w XIX w., Polacy w coraz większym stopniu zdawali sobie sprawę, iż odzyskanie niepodległości przez ich Ojczyznę będzie możliwe tylko w warunkach wielkiego konfliktu europejskiego, w którym naprzeciw siebie staną państwa zaborcze. O taką też wojnę powszechną modliło się za Adamem Mickiewiczem kilka pokoleń polskich. Tymczasem, gdy w r. 1914 wybuchła wojna światowa — jak stwierdził austro-węgierski minister spraw zagranicznych Burian — „ani jedna myśl Polsce nie była poświęcona". Michał Sokolnicki wyraził się jeszcze dosadniej: „Polski nie chciał nikt".

Wielu Polaków tradycyjnie liczyło na Zachód. Francja była jednak daleka od podniesienia sprawy polskiej, aby nie urazić swej sojuszniczki — Rosji carskiej. Paryż już dawno został przekonany przez Petersburg, iż sprawa polska jest wewnętrznym problemem Rosji. Zupełnie obojętną była kwestia polska dla Anglii. Tuż przed wybuchem wojny premier brytyjski Asquith powiedział otwarcie Ignacemu Paderewskiemu: „Nie ma żadnej nadziei na przyszłość dla ojczyzny pana".

Walczący z sobą zaborcy nie mogli jednak ze względów militarnych przemilczeć sprawy polskiej. Z wydanych przez obydwie strony odezw większe wrażenie wywołał manifest głównodowodzącego armią rosyjską wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, zapowiadający zjednoczenie pod berłem cara trzech części Polski, „swobodnej w swej wierze, języku i samorządzie". Obietnice te spotkały się z żywym odzewem ze strony zachodnioeuropejskiej opinii publicznej, jak okazało się, wciąż sprzyjającej zwłaszcza nad Sekwaną sprawie polskiej. Rządy francuski i angielski przestrzegały jednak, akcentowanej wobec nich przez carat, zasady, iż kwestia polska jest sprawą wewnętrzną Rosji.

Gdy we Francji z pierwszych ochotników polskich sformowano w ramach Legii Cudzoziemskiej jednostki polskie, a ambasada rosyjska w Paryżu sprzeciwiła się temu, kolejni ochotnicy polscy zostali już rozproszeni po różnych oddziałach Legii. Natomiast jedyną inicjatywą władz brytyjskich, podjętą po wybuchu wojny w sprawie polskiej, były próby wciągnięcia Polaków do współpracy z wywiadem angielskim.

Podejmowane w tym czasie na Zachodzie przez różne komitety i polskie ośrodki emigracyjne, działania propagujące sprawę polską nie mogły liczyć na powodzenie, a przychylną Polsce opinię publiczną wyciszano i hamowano. Nader symptomatyczne były tu słowa, z jakimi zwrócił się w 1915 r. do młodego dziennikarza Edmonda Privata, rzecznika sprawy polskiej, dyrektor generalny francuskiego MSZ Philippe Berthelot: „prowadzi pan kampanię dla wskrzeszenia Republiki Polskiej. Lecz to jest rzecz niemożliwa do spel-

Legenda i życie „Wira"

Dokończenie ze str. 1

cja: nie można było pisać o historii ruchu oporu na Zamojszczyźnie, nie pisząc zarazem o „Wirze" i jego działalności, a równocześnie nie egzystował on jakby jako osoba współcześnie żyjąca. Choć z drugiej strony: jako autor opracowań historycznych czy artykułów publicystycznych, dotyczących walk na Zamojszczyźnie, był drukowany na łamach niektórych czasopism. Można było opublikować recenzję z książki Konrada Bartoszewskiego o Mieczysławie Romanowskim, ale dziennikarz natrafiał już na mur „niemożności" gdy próbował napisać szerzej o życiu i działalności „Wira", przedstawić jego sylwetkę, opublikować wywiad. Nawet na upamiętniającej męczeńską śmierć rodziny „Wira" tablicy, umieszczonej kiedyś na frontonie jednego z domów w rynku w Józefowie, nie zostało wspomniane że chodzi tu o rodziców i siostrę słynnego miejscowego partyzanta.

Aż dopiero całkiem niedawno, w rok po śmierci Konrada Bartoszewskiego, jedna z ulic Józefowa otrzymała jego imię: ul. Konrada Bartoszewskiego — „Wira"... (Nieco wcześniej skorygowano także napis na wspomnianej tablicy pamiątkowej).

*

Ten artykuł można by zatytułować także inaczej: „Życie Konrada Bartoszewskiego — bez legendy" I rozpocząć fragmentem własnoręcznie napisanego przez „Wira" w dniu 6 grudnia 1988 r. w jego lubelskim mieszkaniu przy ul. Balladyny — na pięć miesięcy przed śmiercią — „Życiorysu":

„Urodziłem się 5 lipca 1914 w Baranówce (ZSRR) w rodzinie inteligenckiej. Ojciec mój był lekarzem weterynarii. Po roku 1920 zamieszkałem z rodzicami w Kowlu, gdzie zacząłem uczęszczać do szkoły. Gimnazjum ukończyłem w Zamościu 1933, podejmując w tym samym roku studia wyższe w Warszawie"...

Konrad Bartoszewski był synem Wacława i Janiny z Rychterów. Oprócz niego Bartoszewscy mieli jeszcze młodszą od Konrada córkę, Winisławę. W 1927 r. rodzina przenosi się do Zamościa, gdzie dr Wacław Bartoszewski kontynuuje praktykę weterynaryjną.

Konrad kończy Gimnazjum Humanistyczne im. Jana Zamoyskiego a następnie zapisuje się na wydział humanistyczny Uniwersytetu Warszawskiego, uzyskując w styczniu 1939 r. stopień magistra filozofii w zakresie filologii polskiej. Stosunkowo długi okres studiów na uniwersytecie wynika z ówczesnych zasad odbywania zasadniczej służby wojskowej przez studentów: w roku 1937/38 Bartoszewski odbywa szkolenie na Dywizyjnym Kursie Podchorążych Rezerwy Piechoty przy 3 Dyw. Piech. Legionów w Zamościu. Otrzymuje stopień kaprala podchorążego rezerwy z przydziałem do 7 pułku piechoty w Chełmie. Potem kontynuuje studia polonistyczne.

Już 4 sierpnia 1939 r., w pół roku zaledwie po uzyskaniu magisterium Konrad Bartoszewski zostaje powołany na pierwsze w swym życiu ćwiczenia dla rezerwistów, w chełmskim 7 pułku piechoty Legionów. W szeregach tego właśnie pułku weźmie wkrótce udział w kampanii wrześniowej, kończąc ją pod Tomaszowem Lubelskim.

Uniknąwszy niewoli zamieszkuje w Józefowie Biłgorajskim dokąd przenieśli się jego rodzice. Jest jednym z pierwszych organizatorów ruchu oporu w Józefowie. Rozpoczynając konspiracyjną karierę od funkcji zastępcy dowódcy placówki Służby Zwycięstwu Polski w listopadzie 1942 r. jest już komendantem rejonu AK w Józefowie. Nie nosi jeszcze wówczas słynnego pseudonimu „Wir", tylko „Zadora".

W grudniu 1942 r. Niemcy rozpoczynają akcję wysiedleńczą na Zamojszczyźnie. Odpowiedzią są dywersyjne przedsięwzięcia zamojskiego podziemia. Nocą z 5 na 6 grudnia porucznik Konrad Bartoszewski dowodzi akcją dwóch plutonów Armii Krajowej, mająca na celu zniszczenie mostu kolejowego koło Suśca, zawieszonego nad rzeką Łosiniec. W kilka lat później, w roku 1946, relacja z tej akcji, napisana przez Konrada Bartoszewskiego, ukaże się w t. II „Wydawnictwa materiałów do dziejów Zamojszczyzny", redagowanego przez dr. Zygmunta Klukowskiego:

„Drapiemy się w górę po nasypie mostu. Przy mnie idzie »Szum«. Zna dobrze rosyjski, będzie udawał dowódcę. Pozorujemy Sowietów.

Jesteśmy na moście.

— Stać, ręce do góry!

Wartownicy dostrzegli nas dopiero w ostatniej chwili. Podnoszą ręce do góry. Są przestraszeni. Patrol sprowadza ich z mostu, a w tym momencie minerzy już są na moście i zakładają ładunek.

— Gotów?

— Gotów!

— Zapalić!

Błyski zapałki i jasny płomyk został na ziemi.

Zbiegamy z nasypu. Ubiegamy około 100 m i kładziemy się na ziemi. Nie znamy jeszcze magii minerskiej, wolimy być ostrożni. Moment napięcia, moment oczekiwania. Błysk, huk — echo niesie daleko i wraca. Chwila wyczekiwania i biegniemy ponownie w górę do mostu. Nawierzchnia mostu nie istnieje. Pogięte szyny sterczą nad kikutami słupów. Bliżej przyczółków mostu kupa desek. Z ciekawością patrzymy na efekt wybuchu. Pierwsze dzieło zniszczenia, pierwszy akt odwetu i długo tłumionej żądzy zemsty. Za to wszystko. Nareszcie. Bez względu na ofiary, bez względu na wszystko. Teraz nie będziemy biernymi niewolnikami. Tak myśleli chłopcy, tak myśleliśmy my"

Tak oto wyglądała pierwsza akcja dywersyjna na Zamojszczyźnie. Jej efektem było czasowe przerwanie ruchu kolejowego na trasie z Lublina do Lwowa.

W pierwszej połowie lutego 1943 r., występujący już pod pseudonimem „Wir", por. Konrad Bartoszewski staje na czele zmobilizowanych przez siebie kompanii partyzanckich z rejonu józefowskiego. Staczają one szereg potyczek i walk z niemieckimi oddziałami przeprowadzającymi pacyfikacje.

25 lutego 1943 r. „Wir" oraz ppor. „Korsarz" (były kierownik urzędu pocztowego w Józefowie, Hieronim Miąc), dowódca jednego z leśnych oddziałów, zostają niespodziewanie ujęci przez policję granatową oraz niemieckich żandarmów, gdy odwiedzili w Józefowie swoje rodziny. Zamknięto ich pod strażą w gminnym areszcie, a równocześnie zawiadomiono zamojskie gestapo. Była godzina jedenasta wieczorem.

Natychmiast z Zamościa wyjechały silne oddziały Schupo. Spodziewano się ich w Józefowie około trzeciej nad ranem... Prawie w ostatniej chwili, gdy niemieckie samochody słychać już było pod osadą, żołnierze AK, dowodzeni przez Czesława Mużacza — „Selima", zdołali opanować józefowski areszt i uwolnić „Wira" i „Korsarza". Dokonał tego „Selim" mając ze sobą niewiele ponad dziesięciu ludzi. Mały oddziałek odskoczył teraz błyskawicznie w stronę wznoszącego się nie opodal Józefowa górzystego kamieniołomu.

Wbrew temu, co mówi legenda, „Wir" nie był świadkiem egzekucji swoich najbliższych. Notabene zawsze bardzo niechętnie mówił o owej tragicznej nocy z 25 na 26 lutego. O wypadkach, które niewątpliwie położyły jakiś wewnętrzny cień na całym jego późniejszym życiu.

Wiadomo tylko tyle, że — jak się, kiedyś zwierzył — wówczas w lesie, usłyszawszy dochodzące od strony Józefowa odgłosy strzałów i dojrzawszy błyski pożaru, tknięty przeczuciem, zaczął szybko schodzić ścieżką od kamieniołomu w stronę osady. Nagle z ciemności wyłoniła się biegnąca w prze-

nienia. Jest to po prostu utopia i powinien pan porzucić te marzenia i zająć się sprawami bardziej interesującymi".

Sytuacja ta uległa pewnej zmianie po wycofaniu w lecie 1915 r. wojsk rosyjskich z terenów Królestwa Polskiego, które znalazło się pod okupacją niemiecko-austriacką. Zachodni alianci poczuli się wówczas zagrożeni możliwością wykorzystania przez państwa centralne kwestii polskiej w celu uzyskania z ziem byłego zaboru rosyjskiego rekrutów polskich dla swych armii. Aby odciągnąć Polaków od tej możliwości i pozyskać ich dla ententy oficjalne koła brytyjskie wystąpiły z postulatem wspólnego poparcia z Rosją polskich dążeń narodowych. Jak wynika jednak z opracowanych w 1916 r. przez Foreign Office memoriałów w tej kwestii wypowiadały się one wprawdzie za powstaniem Polski złożonej z byłego Królestwa Polskiego, Galicji i części zaboru pruskiego, lecz będącej autonomiczną częścią imperium rosyjskiego lub rządzonej przez rosyjskiego księcia. W oficjalnych rozmowach rząd brytyjski był jeszcze bardziej ostrożny. Zapytany wiosną 1916 r. przez przebywającego w Anglii parlamentarzystę rosyjskiego prof. Milliukowa: „Co pan sądzi o sprawie polskiej?" minister spraw zagranicznych Anglii lord Grey odpowiedział: „To rzecz Rosji. My oczywiście życzylibyśmy sobie, aby Rosja dała Polsce autonomię, ale mieszać się do tego nie możemy".

Rząd francuski, alarmowany przez prasę przestrzegającą przed groźbą werbunku niemieckiego w Polsce, usiłował kilkakrotnie i delikatnie wpłynąć na swą wschodnią sojuszniczkę w sprawie polskiej, namawiając Rosję bezskutecznie do uczynienia nowego bardziej wyraźnego gestu wobec aspiracji polskich. Nie miał oczywiście na myśli niepodległości Polski. Świadczy o tym wyraźnie obszerny memoriał opracowany przez francuskie MSZ z 30 kwietnia 1916 r., pt. „Question Polonaise". Jego autorzy doceniali wprawdzie wagę sprawy polskiej w swej zasadniczej konkluzji stwierdzili jednak, iż „pożądana formuła francusko-angielskiego punktu widzenia wydaje się być Polska autonomiczna pod berłem Romanowów". Gdy rosyjski minister spraw zagranicznych Sazonow uznał dyskretną nawet interwencję rządu francuskiego w sprawie polskiej za niebezpieczną dla aliansu III Republiki z Rosją, przerażony tym premier francuski Briand poniechał natychmiast dalszych kroków, oraz przestrzegł Polaków, aby zaprzestali na gruncie francuskim agitacji za niepodległością swego kraju.

Dostosowanego do wymogów polityki carskiej stanowiska Anglii i Francji w sprawie polskiej nie zmienił akt 5 listopada 1916 r., na podstawie którego państwa centralne powołały Królestwo Polskie, chociaż akt ten nielako prawnie sankcionował umiędzynarodowienie kwestii polskiej. Gdy Rosja zaprotestowała przeciwko posunięciom Niemiec i Austro-Węgier i przypomniała iż zamiarem cara jest nadanie zjednoczonym ziemiom polskim autonomii, jej zachodni alianci w depeszy skierowanej do Piotrogrodu 15 listopada 1916 r. wyrazili jedynie zadowolenie „ze wspaniałomyślnej inicjatywy danej przez rząd jego cesarskiej mości na korzyść narodu z którym łączą nas dawne sympatie, a którego przywrócone zjednoczenie stanie się jedną z pierwszorzędnych podstaw przyszłej równowagi europejskiej".

Tym większe wrażenie wywarły więc wówczas słowa prezydenta neutralnych jeszcze Stanów Zjednoczonych, Woodrow Wilson w swym orędziu do senatu z 22 stycznia 1917 r. w sprawie warunków pokoju, akcentując suwerenne prawa narodów do decydowania o swym losie powiedział: „Zakładam, żeby zacytować tylko jeden przykład, że mężowie stanu są wszędzie zgodni co do tego, że winna istnieć zjednoczona, niepodległa i autonomiczna Polska". Zdaniem niektórych interpretatorów tych słów przykładowe wymienienie Polski jako egzemplifikacji ogólnych zasad i powołanie się na zdanie innych mężów stanu ograniczało znaczenie wypowiedzi prezydenckiej. Inni sądzą jednak, jak wydaje się: nie bez racji, iż słowa te były doniosłym momentem w umiędzynarodowieniu sprawy polskiej, miały swą wymowę polityczną i moralną, wzbudziły też w społeczeństwie polskim, niezależnie od jego orientacji, nadzieje na przyszłość.

Równocześnie jednak w stosunkach francusko-rosyjskich sprawa polska znalazła się w swym najniższym punkcie. Tuż przed wybuchem rewolucji lutowej premier Briand w tajnej depeszy z 11 marca 1917 r., w zamian za zgodę Rosji na ustalenie po wojnie wschodniej granicy Francji kosztem Niemiec, dał imperium carskiemu carte blanche dla wytyczenia jego granicy zachodniej. W sprawach polskich Rosja miała więc decydować samodzielnie. Zdaniem historyka francuskiego Pierre Renouvina, oznaczało to „porzucenie interesów narodu polskiego przez III Republikę".

Postanowienia te przekreśliła całkowicie rewolucja lutowa. Obalając carat, umożliwiła aliantom zachodnim prowadzenie bardziej swobodnej polityki w sprawach polskich. Pewnym ograniczeniem w tym względzie była akceptacja przez Paryż i Londyn proklamacji rosyjskiego Rządu Tymczasowego z 30 marca 1917 r., przyznającej wprawdzie Polsce niepodległość, ale w połączeniu z Rosją „wolnym przymierzem wojskowym" i z terytorium zatwierdzonym przez przyszłą konstytucję rosyjską. Zachód godził się na te ograniczenia suwerenności Polski przez republikańską Rosję ze względu na jej decyzję o niewycofaniu się z wojny. Jak stwierdził jednak nowy dyrektor polityczny na Quai d'Orsay, Pierre de Margerie: „Polska może być uważana za niepodległą i byłoby wielkim błędem podporządkowywać sprawę polską rosyjskiemu punktowi widzenia, tak jak to niestety zbyt często robiliśmy za czasów reżimu poprzedniego".

Nie oznaczało to, iż polityka Francji w tym zakresie stała się w pełni niezależna. Powołanie armii polskiej we Francji na mocy dekretu prezydenta Poincarégo z 4 czerwca 1917 r. nastąpiło po konsultacji z Rosją. Z uzależnień rosyjskich wyzwalała się tymczasem Anglia. Jej ambasador w Piotrogrodzie Buchanan oświadczył Rządowi Tymczasowemu, iż kwestia polska nie dotyczy już tylko Rosji, lecz ma charakter międzynarodowy i znajduje się także w kręgu zainteresowań brytyjskich. Zarówno Anglia jak i Francja uznały też Komitet Narodowy Polski za jedyną oficjalną reprezentację polityczną polską. Ententa nie zdobyła się jednak jeszcze wówczas na oczekiwaną przez Polaków deklarację w sprawie niepodległości Polski. Dopóki Rosja była państwem sojuszniczym i brała udział w wojnie, alianci zachodni liczyli się z jej programem w sprawie polskiej.

Zwycięstwo rewolucji październikowej i dalsze tego konsekwencje, tj. zawarcie przez Rosję Radziecką pokoju z państwami centralnymi i zrzeczenie się przez nią suwerenności nad obszarem Królestwa Polskiego, rozwiązały Zachodowi całkowicie ręce w sprawie polskiej. Dla Zachodu nie była ona jednak pierwszoplanową, stanowiąc funkcję sprawy niemieckiej i rosyjskiej. Na czas pewien przesłoniły ją dążenia brytyjskie, zmierzające do zawarcia przez ententę separatystycznego pokoju z monarchią dualistyczną. Dopiero na przełomie 1917/1918 r. nastąpiła seria publicznych wypowiedzi zachodnich mężów stanu w sprawie niepodległości Polski. Premier włoski Orlando uczynił to 12 grudnia, 27 tegoż miesiąca — minister spraw zagranicznych Francji Pichon, 5 stycznia — premier brytyjski Lloyd George. Jego zdaniem, niepodległa Polska winna objąć „żywioły rdzennie polskie".

Największym echem odbiło się wystąpienie prezydenta Stanów Zjednoczonych Wilsona, który 8 stycznia 1918 r. przedstawił Kongresowi i światu zawarty w 14 punktach program pokojowy; trzynasty punkt był poświęcony Polsce: „Powinno być utworzone niepodległe państwo polskie, które winno obejmować ziemie zamieszkałe przez ludność

Dokończenie na str. 9

---

ciwnym kierunku postać. Była to czternastoletnia dziewczynka, uciekająca w stronę lasu. „Co się tam dzieje?" — zapytał „Wir". „Niemcy zabili Bartoszewskich!" — odparła, nie poznając pytającego.

Niemcy zaaresztowali wówczas w Józefowie kilkadziesiąt osób. Ale zamordowali tylko Wacława, Janinę i Winisławę Bartoszewskich. Żona „Korsarza" wraz z córeczką zdołały w ostatniej chwili uciec z domu.

*

„Wir" stanął teraz na czele oddziału leśnego, w którym znaleźli się obok niego ludzie najbardziej zagrożeni.

Wkrótce potem, 8 marca 1943 r., zostaje ranny w starciu pod wsią Pieklaki. Rana okazuje się bardzo poważna: przez miesiąc przebywa Bartoszewski najpierw w szpitalu w Biłgoraju (oczywiście odpowiednio zakonspirowany) potem przez około pół roku leczy się w Nisku.

Po wyleczeniu rany, która spowodowała jednak trwałe kalectwo, wraca „Wir" w okolice Józefowa Biłgorajskiego i nadal pełni funkcję komendanta tutejszego rejonu Armii Krajowej. W tym to okresie na polecenie komendanta Obwodu Biłgoraj „Orszy" (Józefa Gniewkowskiego) organizuje w styczniu 1944 r. oddział szkoleniowy, tzw. Kurs Młodszych Dowódców Piechoty. Oddział ten wykonał szereg akcji dywersyjnych, a na początku czerwca 1944 r. brał udział w obronie linii Tanwi przed usiłującymi przejść przez tę rzekę oddziałami, pozostających w służbie niemieckiej, Kałmuków.

13 lutego 1944 r. odbył się w kościele w Aleksandrowie ślub Konrada Bartoszewskiego z Janiną Roguską ps. „Nina", szefem sanitariuszek leśnego szpitala AK nr „665". Był to notabene jedyny tego rodzaju partyzancki szpital stacjonarny. Znajdował się w lesie pod wsią Trzepietniak, dysponował własnym budynkiem, własną kuchnią i własną drużyną osłonową. Szpital zlokalizowano w odległości około dwóch kilometrów od stałego obozu „Wira".

Podczas czerwcowych walk w Puszczy Solskiej po śmierci majora „Kaliny" por. Konrad Bartoszewski zostaje dowódcą zgrupowania partyzanckiego. To właśnie dzięki jego dowódczym umiejętnościom, zdeterminowaniu oraz doskonałej znajomości terenu pozostałe partyzanckie oddziały przebijają się pod Osuchami przez kordon otaczających Puszczę Solską wojsk niemieckich. Niezwykle barwnie opisuje postać „Wira" z tego okresu, nieżyjący już, lubelski literat Zbigniew Jakubik, wówczas biorący udział w bitwie pod Osuchami żołnierz Armii Krajowej, ps. „Marek", w swojej książce „Czapki na bakier".

I jeszcze jeden epizod życiorysu „Wira" z lat okupacji: w lipcu 1944 r. podczas akcji „Burza" pełni on obowiązki dowódcy III batalionu 9 pp AK Ziemi Zamojskiej, działając na jego czele w rejonie Zwierzyniec — Krasnobród.

*

Czytelnik opracowań historycznych, dotyczących walk na Zamojszczyźnie w latach okupacji, najmniej albo zgoła nic nie wie o dalszych losach „Wira".

Jedyne zrobione „w zbliżeniu" zdjęcie „Wira" z partyzantki: por. Konrad Bartoszewski przy porannej toalecie przed swoim leśnym bunkrem w Puszczy Solskiej. Maj 1944 r.

Repr. Przemysław Ostrzyżek

„Zawdzięczał" to Konrad Bartoszewski swojej decyzji pozostania „w lesie", w oddziałach „WiN", aż do roku 1947, kiedy to ujawnił się. A szczególnie — „zawdzięczał" to późniejszemu, datującemu się na początek lat pięćdziesiątych, niesłusznemu oskarżeniu, na podstawie którego został aresztowany i w 1952 r. skazany na pięć lat więzienia. Zwolniony w roku 1954, podjął — jako polonista z wykształcenia — pracę w oświacie.

Lecz wcześniej jeszcze, po ujawnieniu się w 1947 r., pracował najpierw przez dwa lata w Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" oraz w Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków w Warszawie.

Pierwszą pracą po wyjściu z więzienia była posada nauczyciela w Nieklaniu Wielkim na Kieleczczyźnie. Później przez szereg lat pracował w szkole ogólnokształcącej i liceum w Sanatorium Rehabilitacyjno-Ortopedycznym we Wrocławiu jako dyrektor tej szkoły.

W 1969 r. Konrad Bartoszewski doktoryzował się na Uniwersytecie Wrocławskim na podstawie rozprawy o poecie Mieczysławie Romanowskim. Rok wcześniej ukazała się w księgarniach nakładem PIW jego książka — „Mieczysław Romanowski. Poeta powstaniec".

Jest Bartoszewski także autorem książki o innym polskim poecie, Kornelu Ujejskim, zatytułowanej „Jeremi", która wciąż czeka na swego wydawcę.

W roku 1969 dr Bartoszewski i jego żona Janina, mgr psychologii, przenoszą się wraz z synem Piotrem (dziś pilot, instruktor Lubelskiego Aeroklubu) do Lublina, gdzie dawny por. „Wir" podejmuje pracę w Międzyzakładowym Zakładzie Leksykograficznym KUL, w redakcji Encyklopedii Katolickiej. Najpierw jako asystent, potem — adiunkt badawczo-naukowy. Był kierownikiem Zespołu Merytoryczno-Leksykograficznego Encyklopedii Katolickiej; opracował do jej czterech tomów ponad osiemdziesiąt haseł.

Należał do lubelskiego Klubu Nauczycieli Literatów im. J. Czechowicza.

*

Był „Wir" kawalerem Krzyża „Virtuti Militari" V kl., dwukrotnie został odznaczony Krzyżem Walecznych, posiadał Krzyż Armii Krajowej. A na pewien czas przed śmiercią otrzymał wysokie papieskie odznaczenie „Pro Ecclesia et Pontifice", przyznane mu przez Stolicę Apostolską.

*

Niedawno minęła pierwsza rocznica jego śmierci. Umarł w Lublinie 21 kwietnia 1987 r. i tutaj też, na cmentarzu przy ul. Lipowej, został pochowany.

Miesiąc i dzień odejścia „Wira" z tego świata dziwnie koresponduje z datą śmierci bohatera jego książki, poety-powstańca, Mieczysława Romanowskiego, żołnierza oddziału Lelewela — Borelowskiego w Powstaniu Styczniowym. Romanowski zginął od kul rosyjskich żołdatów w bitwie pod Józefowem Biłgorajskim 24 kwietnia 1863 r. na bagnistym terenie, trzy kilometry od tej osady w kierunku na Osuchy.

Postawiono później w tym miejscu, nad rzeczką, prosty drewniany krzyż. Ale mogiły autora wiersza rozpoczynającego się słowami: „Jeśli polegnę, niechaj mi w nagrodę / Za was nie kładą pamięci kamienia" — nie odnaleziono nigdy.

Nie wiadomo, gdzie spoczywa poeta-partyzant, walczący osiemdziesiąt lat wcześniej na tej samej ziemi, w tych samych okolicach, w tych samych miejscach i o tę samą sprawę co autor jego biografii. Konrad Bartoszewski napisze o nim w swojej książce, iż „warto było pokusić się o ponowne odczytanie życiorysu poety, którego twórczość i działalność [...] przypadała na okres niezmiernie złożony — żeby nie rzec zagmatwany — ideowo, w którym co krok trzeba było dokonywać niełatwego wyboru spośród wielu propozycji, jakie podsuwała epoka".

Mirosław Derecki

Z rodzinnego domu w Józefowie Biłgorajskim ocalały z wojennej pożogi tylko dwie książki. Dwa tomy encyklopedii — Trzaski, Everta, Michalskiego o nadpalonych okładkach, które 26 lutego 1943 r. ktoś wygrzebał z dymiącego pogorzeliska i po wojnie zwrócił prawowitemu spadkobiercy. Te książki stoją dziś wśród innych na półce w mieszkaniu „Wira" przy ulicy Balladyny.

M. D.

W ludzkim blasku profesora Sedlaka

W WYDAWNICTWIE Lubelskim Kazimierz Dymel opublikował był właśnie książkę „Skąd ten blask, profesorze Sedlak?". W tytule owym znajduję zachętę do przypomnienia, że nie ma blasku bez światła, to zaś posiada naturę podwójną: falową i korpuskularną, a przepuszczone przez pryzmat staje się tęczowym bukietem.

Tak i pisarska rzecz Dymla: stroniąc od określonej normy gatunkowej, jest równocześnie reportażem i literacką kreacją, notatnikiem autora i manifestem jego postawy, zbiorem aforyzmów i populistycznych mądrości („Życie jest snem, zależy z kiem"), a tyle w niej kolorów lingwistycznych, że można by z nich ułożyć mozaikowy pejzaż z motywami Gór Świętokrzyskich, gdzie rozwija się większość akcji (?) owej książki.

Z tymi akcjami, zaopatrzonymi wyżej w znak zapytania, wiąże się następna dwuznaczność formalna Dymlowej roboty. W tekście bowiem akcja jest i jej nie ma. Profesor Włodzimierz Sedlak, główna postać wykładu, chodzi, siedzi, czasami nawet gestykuluje i wyraża swoje emocje mimiką, no i trzyma się posadzek klasztoru na Świętym Krzyżu, gdzie o mały włos nie stracił życia za sprawą tzw. pioruna kulistego, ale ten nasz bohater, który mógłby użyczyć Faustowi swojego oblicza, przede wszystkim mówi, przedstawia się przez wypowiadane sądy, opinie i uwagi tyle drobne, co pieprzne. Oto na przykład jego definicja prawdy, która zresztą przypomina literowy symbol przedwojennego samolotu naszych sił zbrojnych: RWD, co w rozwinięciu znaczy: Ratuj Własną Dupę.

Mówią i gadają też inne postaci, wprowadzane na scenę przez Dymla: „ojciec Marian, korpulentny pięćdziesięciolatek". „Jerzy Cho-da-sie-wicz, kustosz tutejszego muzeum przyrodniczego". „ojciec Kazimierz, szczupły, przystojny, około trzydziestki". „Wacław Łubieński ze Świętokrzyskiego Parku", nadto jacyś pretensjonalni poeci, automobilowy wyścigowiec w czarnym skórzanym kombinezonie, a na samym początku książki — Maria i Jerzy Koncewiczowie z Kazimierza Dolnego i ze świata w ogóle. Najwięcej przecież czasu i miejsca zarezerwował autor dla twórcy elektromagnetycznej koncepcji życia, kontrowersyjnej wobec teorii, że wszystko jest chemią.

Można by zatem powiedzieć, że rzecz Dymlowej mądrości i imaginacji jest scenariuszem dla teatru jednego aktora, który zręcznie — o tak! — podprowadzany przez dramaturga, wybebesza się na oczach podekscytowanej widowni, nade wszystko gustującej w ekshibicjach, choćby intelektualnej natury. Owszem, naturalnie, profesor Sedlak odsłania się z godnością, ale i nie ceregieląc się zbytnio. Exemplum:

— Jeszcze w czasie okupacji napisałem „Psychologię wieku dojrzewania dziewcząt".

— Ksiądz?

Niby nic, ale przecież „Ksiądz?". A dalej jeszcze lepiej: „Myślę — dodał z kamienną twarzą — że nawet Bóg na Sądzie Ostatecznym nie będzie się bawił w dyskusję z kobietami. Inaczej Sąd Boży nie miałby końca".

Ale to betka wobec opinii o nauce współczesnej, o jej z kamienna racjonalnym etosie, które wypowiada ksiądz profesor z Radomia, uznawany przez wielu za anarchistę, mistyka, fanatyka, kumpla Szatana — wszak inteligencji konkurującej z Kreatorem Wszechrzeczy (Bogiem? Fotonem pierwszym w elektromagnetycznej pustce?).

— Myślę, że nauka to stado inteligentnych baranów. Ostatni, patrząc na ogon poprzednika, twierdzi, że widzi przewodnika stada, a o słuszności kierunku, w którym podążają, wnioskuje po rozdeptanej ziemi. Tylko baran anarchista, parszywy baran, występuje z szeregu, wołając: „Źle idziemy! Nie ten kierunek!" Ale to przecież wariat — mąciciel ciszy... Tymczasem ciąg inteligentnych baranów w paradnej rewii umysłowej idzie dalej.

Im dalej, tym ciekawiej mówi ksiądz profesor, uczony w sutannie, ot co:

— A jeśli życie jest fenomenem przyrody, to musi być fenomenem materii.

Heraklit, następnie wielu, wielu materialistycznie zorientowanych filozofów, wreszcie Engels. I Sedlak?! No nie, to byłoby zbyt łatwe. Ksiądz profesor z powagą opowiada o tym, jak kilkakrotnie umknął śmierci, no może nie umknął, co stanął z tą panią oko w oko, ubraną w ogromny głaz skalny, to znów, dwa razy, w piorun kulisty. Nie przeniosła go ona jednak w inny stan materii, dla biologii elektromagnetycznie myślącej niezbyt powabny, ponieważ — jak przypuszcza — zadecydowała o tym najwyższa instancja, przed którą ten biolog, fizyk, geolog, paleontolog, nauczyciel akademicki, a po prawdzie Człowiek zasłuchany w rytm natury, chyli pokornie głowę, fundując na Świętym Krzyżu figurę Matki Boskiej wedle wzoru chłopskiej dziewuchy z kieleckich stron.

Chyli głowę, owszem, ale stać go jeszcze na tyle tchu w piersiach, by wyrzucić:

— Wobec Pana Boga chamem nie jestem, ale ambicje też swoje mam!

Książka Dymla to holograficzny portret Sedlaka.

A może autoportret, skreślony dłonią kogoś innego, wedle instrukcji człowieka, który zresztą studia uniwersyteckie rozpoczął w 37 roku życia, będąc wcześniej katechetą i pedagogiem, także podczas okupacji niemieckiej, kiedy to prowadził tajne nauczanie gdzieś w pobliżu Ostrowca Świętokrzyskiego.

Może to jest portret, albo autoportret — zdjęty z taśmy magnetycznej, co prawdopodobne wobec wieloletniej pracy Dymla w charakterze reportażysty radiowego, często nagradzanego za swoje „kawałki" w kraju i za granicą. Struktura tej książki jest przecież radiowa, przestrzeń między jej filarami wypełniają dialogi, aforyzmy i tzw. złote myśli, które z natury rzeczy trącą oczywiście banałem, z czego doskonale zdaje sobie sprawę sam autor, ratując swoich recytatorów dodatkowymi pytaniami, prowadzącymi ich ku jakiejś tam prawdzie, bodaj ku szczerości proporcjonalnej do wymiarów umysłu i duszy owych „respondentów".

Może to jest portret, albo autoportret.

Ale wiele wskazuje, że jest to także zapis przeświadczeń, poglądów, lęków i nadziei Kazimierza Dymla, wyrażanych czasami expressis verbis.

„Przez całe lata żyło mi się spokojnie, bez jakichś specjalnych wstrząsów i wzruszeń. Leniwym spacerkiem przebyłem studia uniwersyteckie i bez ambicji naprawiacza i uzdrowiciela rozpocząłem pracę w dziennikarstwie. Od kilkunastu lat pichciłem reportaże radiowe, nie bez przyjemności bawiąc się słowem i dźwiękiem. Dupa solidarnie z głową puchły od przesiadywania w studiu, przy montażówce, w knajpie, a przede wszystkim wśród gadaczy. Ci najczęściej wyrzucali z siebie zdania tak gładkie, potoczyste, okrągłe i dźwięczne, że nawet chwile ciszy pobrzmiewały głęboko i ekspresyjnie. Ja jednak rozpowiadałem wokoło, jak to z magnetofonem na ramieniu poszukuję prawdy i uganiam się, choćby za okruchami ulotnych myśli i uczuć. Same bzdury".

Dobre, co?! Ja Dymla rozumiem, bo sam pichciłem reportaże, tyle że prasowe. Same bzdury, o Boże mój, prawie same!

Obecność Dymla w książce jest przecież zwykle tylko dyskretnie zaznaczona — ale przecież czuje się ją na każdym kroku!

Więc co to w końcu jest?

Książkowy debiut Dymla. Miejscami trochę sentymentalne (epizod osieroconego Janka), ale w sumie efektowne wejście byłego radiowca w mroczną i piękną gęstwinę słowa drukowanego, w literaturę, ore rotundo.

Ale takie wyjaśnienie niczego nie wyjaśnia.

Co to więc jest?

Mądra książka o życiu, o sposobach przeżywania świata przez człowieka jako cudownej i przewrotnej drobiny, na dobre i złe zanurzonej w Kosmosie.

— Moja świadomość — mówił Profesor — to nić egzystencji wyciągniętej ze wszechświata: na jednym końcu on, na drugim — ja, też dzieło przyrody. Jest we mnie wszystko, co istnieje w kosmosie, jestem jego czującą, myślącą i rozumiejącą cząstką.

Następna książka Kazimierza Dymla będzie miała tytuł „Tako rzecze Sedlak".

Ireneusz J. Kamiński

Żal za utraconą niewinnością

Ciąg dalszy ze str. 1

siał być w swojej odmowie zrozumienia niezwykle uparty.

Dlaczego ten aspekt pisarskiej postawy, otwarcia i zrozumienia, uważam za szczególnie ważny?

Czytanie rzeczywistości nie jest, wedle Czesława Miłosza, operacją wyłącznie intelektualną. Zauważa on jednak, że tak — niestety — traktowane bywa od wielu dziesięcioleci przez intelektualistów i pisarzy. Słowko „niestety" w niewielkim wszakże stopniu oddaje żal leciwego poety nad wątpliwym postępem naszej kultury. Miłosz używa w tej mierze mocniejszego słowa: „redukcjonizm", a mówiąc o „światopoglądzie redukcjonistycznym", ma na myśli sposób rozumowania, który posługując się sztafażem nauki, ślizga się po powierzchni przedmiotów.

By osiągnąć tę niezwykłą jasność, w jakiej jest mistrzem, cytuje Miłosz Lwa Szestowa. Ten rosyjski filozof już w samym początku naszego wieku zauważył, że amputowano nam jeżeli nie część duszy, to na pewno jedną z najważniejszych umiejętności: poleganie na własnym doświadczeniu. Toteż przekonani w szkole, że nie Słońce krąży wokół Ziemi (a to właśnie jest oczywiste), lecz przeciwnie — Ziemia wokół Słońca, posiadamy — powiada Szestow — „w każdym z nas tendencję do przyjmowania za prawdę tylko tego, co odczuwamy jako fałsz całą swoją istotą".

Nawet wziąwszy poprawkę na sarkastyczny ton tych słów, musimy przyznać, że wiele w nich racji. Czyż nie jest bowiem tak, że stając przed jakimś dylematem, powiadamy często: to zbyt proste, aby było prawdziwe! I okazuje się — prawdziwe. Sądzenie świata przestało być udziałem naszych zmysłów i duszy, a jak Miłosz powiada, „poezja u większości poetów jest dalszym ciągiem zeszytów szkolnych". Mówiąc inaczej, sądzimy za pomocą miar, które nam wpojono, i choćby były sprzeczne z oczywistością, przyjmujemy je w końcu bez zastrzeżeń.

Jakie to są miary? Miłosz nie nazywa ich imieniem. Ale mówiąc o źródłach, z których wyrastają, wymienia na pierwszym miejscu dziewiętnastowieczny scjentyzm, którego pokracznymi formułami myślowymi stały się w naszym stuleciu właśnie pogląd redukcjonistyczny oraz swoisty nihilizm poznawczy i moralny. Szestow, którego Miłosz przywołuje na pomoc, nie jest, wbrew pozorom, obrońcą totalizującej funkcji poznawczej mitu, choć tak zrazu można by rozumieć jego żal za utraconą niewinnością. Przeciwnie: to dzisiejsze dążenie do ujęcia świata w szkolarskie definicje redukuje rzeczywistość tylko do tego, co pozwala się zważyć, policzyć czy w jakikolwiek inny sposób udowodnić za pomocą tego, co już wiemy.

Tymczasem istota świata zawsze wymykała się (i czyni to dzisiaj w większym stopniu niż dawniej) nauce i ideologiom. Tysiące lat jałowych wysiłków, tysiące utopii i systemów, o których mniemano, że już-już przybliżają nas do rozwiązania zagadki istnienia, okazywały się zawsze myślowym rupieciem, ponieważ budowano je na założeniu, iż człowieka można ograniczyć w skończonym wymiarze.

To przekonanie, że sztuka i literatura są pewnym rodzajem poznania, nie polega oczywiście na przyznaniu wiodącej roli realizmowi w jego dziewiętnastowiecznej postaci. Charakterystyczne jednak (a i mylące w pierwszym odruchu), iż Miłosz często używa słów: „realizm", „związek z rzeczywistością", a także przywołuje formułę „mimezis" w znaczeniu bliskim temu, jak określił ją Auerbach w swoim epokowym dziele.

„Pisarze i artyści — powiada Miłosz — zwykle powołują się na doskonałość jako najwyższy argument. Arcydzieło, powiadają, przez samo swoje istnienie, przez samo swoje *esse*, okupia mroczne wewnętrzne operacje, z których się wywodzi. Można się z tym zgodzić, ale wtedy wszelka doskonałość ukazuje się nam jako obciążona pewnym długiem, kupiona za pewną cenę. Innymi słowy, zyskuje ona nie tylko estetyczną rację bytu i staje się czymś w rodzaju moralnego obowiązku. Wolę zresztą zwęzić teren moich rozważań i przez »sztukę« rozumieć przede wszystkim sztukę poetycką. Otóż polega ona na takim łączeniu słów, że ich zespół zyskuje moc trwałego oddziaływania i jest odczuwany przez pokolenia jako coś koniecznego i naturalnego, niby spirale w muszli — tak na przykład polski czytelnik odczuwa zarówno poszczególne wersy, jak całość »Pana Tadeusza«. Jednakże, żeby to nastąpiło, musi być spełniony jeden przynajmniej warunek. Jest nim związek słów z rzeczywistością, związek, trzeba przyznać, zagadkowy i poddany innym prawom w każdej epoce. Przyjmuję jednak, że stara historia o sztuce jako naśladownictwie, jako *mimezis*, zawsze się sprawdza, nawet jeżeli sztuka nie nosi już, jak nosiła w Średniowieczu, zaszczytnego tytułu wnuczki Pana Boga — dlatego, że jak wtedy mówiono, naśladuje córkę Pana Boga, Naturę".

W dalszym ciągu wywodów poeta precyzuje swój pogląd na zmiany, jakie zaobserwował. „Otóż jeżeli rzeczywistość jest tak ważna, wolno, nie o-

Szmuglowanie Sienkiewicza

Rozmowa z dr. Tomaszem Jodełką-Burzeckim o perypetiach wydawcy

— Jest pan jednym z trzech laureatów nagrody przyznanej przez Towarzystwo im. H. Sienkiewicza, założone przed dwoma laty w Lublinie. Profesor Lech Ludorowski, prezes Towarzystwa stwierdził, że jest pan „największym wydawcą Sienkiewicza w Polsce Ludowej". Jak się zaczęła ta wielka przygoda wydawnicza?

— Musze powiedzieć bez zbytniego samochwalstwa, że od roku 1954 do przeciśia na emeryture (z końcem 1984) starałem sie opiekować spuścizna po pisarzu jak najlepiej Nie było to łatwe. Już na początku mojej kariery w Państwowym Instytucie Wydawniczym powstał problem, czy można włączyć „Ogniem i mieczem" do Trylogii.

Na 10-lecie Polski Ludowej przygotowywano wybór dzieł Sienkiewicza i Prusa. Z tym ostatnim nie było kłopotów. Wydano 10 tomów, które do dzisiaj funkcjonuja. Natomiast przeciwko Sienkiewiczowi oponował ówczesny decydent Jakub Berman. Oczywiście w sześćdziesięciotomowym wydaniu pod redakcja Krzyżanowskiego z lat 1948—1952 „Ogniem i mieczem" umieszczono, ale po 1952 roku wydawano wyłacznie „Potop" i „Pana Wołodyjowskiego". I żadne recenzje nie pomagały, ani najlepszego sienkiewiczologa Juliana Krzyżanowskiego, ani nawet marksisty Samuela Sandlera. Jakub Berman twierdził, że Sandler jest młodym marksistą i jego zdania nie należy brać pod uwagę, a drukowanie „Ogniem i mieczem" mogłoby zaszkodzić przyjaźni polsko-radzieckiej. I zanosiło się na to, że wybór dzieł Sienkiewicza będzie pozbawiony tej ważnej pozycji. Ja jednak nie przekazywałem wyboru do drukarni i starałem się jakoś przekonać Bermana, nie sam, lecz za pośrednictwem dyrektora PIW-u, którym był wówczas Józef Różański.

— A pan wówczas jaką funkcję w PIW-ie pełnił?

— Byłem redaktorem. Wkrótce później zostałem kierownikiem redakcji i przez prawie trzydzieści lat opiekowałem się klasykami polskimi. A jeśli idzie o „Ogniem i mieczem" to wtedy przypadek przyszedł mi z pomocą Ponieważ miałem nawyk myszkowania po bazarach i antykwariatach, na bazarze Różyckiego zauważyłem odbita na powielaczu te powieść. Moja pensja wynosiła 1200 złotych, ja za to nielegalne wydanie zapłaciłem 500. Ale kupiłem je i z duma przyniosłem dyrektorowi: „My sie tu zastanawiamy dywagujemy, czy to zaszkodzi czy nie zaszkodzi tymczasem inni prywatnie wydają. Ja sam zapłaciłem 500 złotych, inni też zapłacą, bo nie ma a ludzie chcą czytać. Jeśli nie włączymy powieści do wyboru i nie udostępnimy społeczeństwu, to niektórzy będą sie bogacili kosztem głupoty politycznej" Skończyło sie tym, że Różański pobiegł do Bermana, wrócił po godzinie wezwał mnie i powiedział: „Możecie sobie drukować Berman sie zgodził". Mój argument go przekonał Ale ani egzemplarza, ani 500 złotych już nie zobaczyłem. Byłem jednak zadowolony, że wreszcie moge Trylogie w całości wydać.

Tak sie to zaczeło, a w roku nastepnym również w dużym nakładzie ten wybór dwunastotomowy wznowiłem. Bywały lata, że Trylogia ukazywała sie nawet dwa razy do roku, w nakładach 100, 150 tysięcy egzemplarzy. Każde wydanie w dużych nakładach stanowiło zaledwie jedną piątą zapotrzebowania księgarskiego tak że od wielu lat zamówienie społeczne na Trylogię nie jest zaspokojone.

Z czasem wybór dzieł pisarza został powiekszony do 17 tomów, kiedy właczone zostały miedzy innymi „Rodzina Połanieckich" „Bez dogmatu" „Na polu chwały" Natomiast wciąż, od czasu wydania zbiorowego, nie ma „Wirów" gdzie Sienkiewicz wystąpił z ostra krytyka socializmu, choć jest nadzieja że w tej chwili i te powieść udostepni sie czytelnikom. Podobny kłopot dotyczył „Dzieci" Prusa (krytyka rewolucji 1905 roku). Będąc kiedyś na szkoleniu wydawniczym w Radziejowicach pod Warszawa zapytałem jednego z dyrektorów cenzury dlaczego nie zgadzaja sie wydawać, tu wymieniłem wiele pozycji miedzy innymi i te. I usłyszałem: „Przy świadkach mówie wam redaktorze, „Wiry" możecie sobie wydawać, „Dzieci" także. Ta druga powieść już funkcjonuje, a z przyzwolenia na pierwszą wydawnictwo jeszcze nie skorzystało".

— Jako kierownik redakcji nie ograniczał się pan wyłącznie do Sienkiewicza?

— Perypetie innej natury miałem z Witkacym. W 1960 roku zastopowano mi wydanie jego dramatów. Dyrektor, który przeczytał wyłacznie „Szewców" zwrócił mi całość i oświadczył, że sa to niesamowite brednie i tylko człowiek niespełna rozumu może je czytać. Kiedy spytałem, co z tym zrobić, kazał mi wyrzucić do kosza Ale ja dokonałem kwerendy na własna reke. Pościągałem rękopisy i w 1962 roku udało mi sie wydać wszystkie zachowane dramaty.

Od tego czasu datuje sie światowa kariera Witkacego, jako dramaturga Jeśli chodzi o powieści przedwojenne, musiałem czekać dość długo na wydanie bez skreśleń cenzuralnych, co mi sie udało dopiero w latach osiemdziesiatych. Obecnie Witkacy doczekał zaszczytu, że jego utwory w pięciu dużych tomach zostały wydane w „Złotej serii klasyków polskich".

— Z końcem listopada ubiegłego roku przyznano panu nagrodę literacką im. Włodzimierza Pietrzaka. Jak widać, stara się pan pogodzić pisarstwo z edytorstwem.

— Od początku mojej pracy w PIW-ie opracowywałem komentarze, przeważnie do utworów Sienkiewicza Z czasem przygotowałem duży wybór prac o Trylogii, poczynając od roku 1883 (listu Zaleskiego, rodzaju błogosławieństwa sędziwego poety romantycznego dla młodego pisarza) aż od lat pięćdziesiatych, z których przedstawiłem wszystkie negatywne oceny Trylogii, a z pozytywnych, rzecz jasna, mogłem dokonać jedynie wyboru. Nie ograniczano mnie raczej w tym, co prezentowałem, miałem tylko pewne kłopoty z moimi komentarzami: nie wszystkie podobały sie kierownictwu wydawnictwa. Podjąłem sie bowiem obrony wartości historycznych dzieła Sienkiewicza, wzbudzającego zawsze kontrowersje.

Próby obrony Trylogii nie pozbawione były przeróżnych chwytów. Uczeni tej miary, co Szweżkowski czy Wyka, starali się wykazać, że Trylogia jest baśnią, westernem i odciąć od rozostrzywania jej jako utworu historycznego Po ukazaniu sie mojej książki w roku 1972, pierwsza pozytywna recenzja ukazała sie w „Trybunie Ludu" Napisał ja Janusz Wilhelmi, potem posypały sie inne w podobnym tonie Tylko dwóch recenzentów wypowiedziało się zgryźliwie i negatywnie Rzecz jasna bardziej o Sienkiewiczu niż o mnie. Jednym z nich był nie uznający pisarza do dzisiaj Słoiewski-Hamilton, drugim — Maciąg.

Przedtem przez lata całe to robiono. Myśle tutaj o książkach Aliny Ładyki-Nofer, gdzie znajdują sie wypowiedzi Henryka Sienkiewicza celowo zniekształcone czy o pracy prof. Kulczyckiej-Saloni, zaczynającej sie od przytoczenia wypowiedzi krytyków niechetnych Sienkiewiczowi jeszcze za jego życia, jak i o rewelacjach Olgierda Górki, raczej publicystycznych niż naukowych który starał się zrobić karierę atakując Sienkiewicza i wielu wybitniejszych od siebie samego historyków.

— Podobnych przykładów nie szczędzi nam historia. Był taki krytyk, który bez przerwy atakował Artura Rubinsteina. Tymczasem pianistę zna cały świat i podziwia, a krytyka kojarzymy tylko z nazwiskiem Rubinstein. Najłatwiej w ten sposób zostać znanym, nie mając talentu.

— Ładnie wyraził to Żukrowski w 1966 roku: „O tych którzy atakowali Henryka Sienkiewicza, raczymy pamiętać tylko dlatego, że w kieszeniach pisarza przeszmuglowali sie do historii".

— Wynika z pana wypowiedzi, że Sienkiewicz najbardziej „zaszkodził" sobie napisaniem Trylogii. A jak było z innymi powieściami historycznymi

— Kiedy swego czasu opatrywałem „Quo vadis" szczegółowymi przypisami dotyczacymi wiedzy o starożytnym Rzymie, na końcu tego wydania, poprzedzonego znakomitym szkicem pióra profesora Krzyżanowskiego dołączyłem aneks materiałowy, w którym znalazła sie geneza powieści oraz wypowiedzi Sienkiewicza na temat zarzutów stawianych mu, zwłaszcza przez Francuzów, że jest to naśladownictwo, plagiat.

— Kogo Sienkiewicz miałby naśladować?

— Dumasa, Flauberta, a w końcu nawet Chateaubrianda. Pisarz wyjaśniał w swoich wypowiedziach, że niektórych ich dzieł w ogóle nie czytał. Polscy naukowcy rzecz wyjaśnili w ten sposób, że pisarze francuscy, wydając powieści na tematy starożytne, nie zdobyli takiej poczytności, jaką zdobyło „Quo vadis" we Francji To była zawiść i chęć wyparcia konkurenta, który, nawiasem mówiąc, nie otrzymał ani franka. Sienkiewicz był przecież poddanym cesarstwa rosyjskiego, a cesarstwo nie podpisało konwencji berneńskiej o prawie autorskim Wobec tego wszystkie utwory autorów zachodnich wydawane w Rosji nie przynosiły im zysku, a z kolei poza Rosja autorom rosyjskim też nie płacono. W przypadku Sienkiewicza jedynie tłumacz amerykański Jeremiasz Curtin zadbał o to, żeby jakiś tam procent dochodu wydawca przekazywał pisarzowi Tak, że Sienkiewicz miał tylko dochód z wydań polskich. W Rosji wydawano go masowo, ale też nic nie płacono, bo był dla nich pisarzem polskim, czyli zachodnim. Zupełna paranoja polityczna.

— Dziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiała: **Irena Filus**

---

szczędzając siebie ani innych, wysunąć tezę niezbyt pochlebną dla sztuki układania słów w naszym stuleciu. A teza ta brzmi: poezja i w ogóle literatura (jeżeli coś takiego jak literatura istnieje) okazuje się coraz bardziej bezsilna wobec tego, co objawia się nam jako rzeczywistość, czyli zmienia się w samowystarczalną czynność języka, w *écriture*. Niewątpliwie poeci zawsze byli zależni od swoich poprzedników, zarówno naśladowali ich, jak buntowali się przeciwko mistrzom, ale podejrzewam, że dzisiejsze tendencje do schronienia się w materiał językowy jako w system luster, czysto literackich odniesień, stąd pochodzą, że rzeczywistość wydaje się trudna".

Tyle Miłosz o poezji innych, i to w zasadzie wystarcza, by wiedzieć, na jakim gruncie stoimy. Otóż jeżeli potraktujemy tę diagnozę z powagą, na jaką zasługuje sztuka poetycka i eseistyka Miłosza, należy być konsekwentnym do końca i bez sprzeciwu przyjąć myśl, która przewija się w wielu jego książkach.

A jest to przekonanie, że wiek XX stanowi zasadniczo nową jakość cywilizacyjną. Raz — poprzez spowodowanie śmierci niektórych starych wartości, dwa — przez ich swoiste zawłaszczenie i obrócenie przeciwko człowiekowi. Co ciekawe, poeta ma na uwadze nie tylko „socjalistyczną" część świata. Fakt, że powołuje się często na Simone Weil, która z wielką przenikliwością analizowała cywilizacyjne schorzenia Zachodu, dowodzi, że nie chodzi mu o politykę, lub — bądźmy bardziej dokładni — nie tylko o politykę. Ustroje i mechanizmy społeczne interesują Miłosza wtedy, gdy deformują człowieka i niszczą jego podmiotowość. Jest to więc zainteresowanie moralisty, humanisty, a nie politologa, jak często wmawiały prostackie krytyki jego pism.

Zakrawa na paradoks, że właśnie „polityczne" traktowanie jego pisarstwa jest objawem syndromu chorobowego, który poeta tak uparcie tropi, wynika ono bowiem z redukcjonistycznego poglądu na rzeczywistość, właściwego systemom poddanym silnej presji ideologicznej. Ale to na marginesie.

Wracając do tematu, powiedzieć należy, że to, co niepokoi Miłosza w dwudziestowiecznej literaturze, jest skutkiem przemian, które pod wpływem wypadków historycznych nastąpiły w ludziach i społeczeństwach. „Przyjmuję — pisze w „Ogrodzie nauk" — że w naszym stuleciu pojawiło się *coś*, co na próżno próbujemy nazwać, a czemu nadaję prowizoryczną nazwę nowego wymiaru człowieka i społeczeństwa". Na następnej stronie precyzuje ten sąd w odniesieniu do samej literatury: „Dzieje poezji dwudziestego wieku są serią szybko po sobie następujących przewrotów, tak że język dzisiejszej poezji jest niezwykle odległy od języka roku 1900. Ale szybkość, z jaką następują po sobie nowe odmiany stylu, odpowiada szybkości ich zastygania w konwencje i wchodzenia w obieg niby wymiennych liczmanów. To też jest zjawisko nowe, właściwe naszemu stuleciu, i odbywa się jakby wyścig pomiędzy coraz mniej rzeczywistym słowem a coraz bardziej niemą rzeczywistością. Warunkiem silnej sztuki jest [...] związek z rzeczywistością, czego nie należy jednak interpretować na sposób dziewiętnastowieczny".

Postulaty Miłosza — to oczywiste — trudne są do spełnienia i zapewne nie pisałby o nich, gdyby było inaczej. Jedno zwraca uwagę. Przekonanie krajowych pisarzy, iż rzeczywistość jest zbyt trudna i nie poddaje się ich artystycznemu oglądowi, wynika z dziwnego pomieszania pojęć i niewiary w poznawcze, kreatorskie możliwości sztuki.

Oto pogląd, jakoby nauki szczegółowe i ideologia predysponowane były do wyczerpującego opisu ludzkiego świata, zawiera w istocie złowrogą myśl, że zagadnienia moralne i światopoglądowe można rozpatrywać za pomocą logiki.

Innymi słowy: pytanie, jak żyć i jaki świat jest lepszy, staje się w tym ujęciu przedmiotem naukowej, a nie moralnej, analizy. Wprawdzie pisarz, który wypowiedział tę opinię, nie mówi, jakie nauki miałyby miarodajnie regulować stosunki między ludźmi, ale bez obawy popełnienia błędu można przyjąć, iż miał na myśli tak zwane nauki „społeczne", a nie matematykę czy fizykę.

Tę samą prowienieńcję intelektualną posiada tęsknota młodego literata za „znaczącym przeżyciem pokoleniowym". Powiada się bowiem w ten sposób, że istnieje „coś" jakaś jedna rzecz — wydarzenie, która raz na zawsze ukierunkowuje życie i nadaje mu określony, skończony sens.

Wreszcie trzecie stanowisko, że wszystko jest chaosem, tylko pozornie różni się od dwóch poprzednich. Wyrasta ono bowiem z przekonania, że siły porządkujące rzeczywistość znajdują się na zewnątrz człowieka. Stara myśl europejskiej cywilizacji, iż jednostka jest autonomicznym podmiotem, a człowiek pierwszą i ostatnią miarą rzeczy, zostaje w ten sposób zakwestionowana, a nawet odrzucona jako nieprawdziwa. Można naturalnie przypuszczać, że opinia ta wyraża przede wszystkim własną niemoc pisarza i nie rości sobie pretensji do diagnozy filozoficznej. Ale tak czy inaczej jest to sąd autentyczny, czyli prawdziwy jako wyraz własnego, jednostkowego stanu ducha Osoba wyrażająca taką myśl dobrowolnie zatem rezygnuje z próby wartościowania rzeczy, przyznając w tej mierze, że nie istnieją dla niej wartości moralne ani żadne inne, poza bezładnie, bez porządku ułożonymi rzeczami. Jeżeli tak, to rzeczywiście nie istnieje żaden „porządek" ponieważ tam, gdzie nie

Dokończenie na str. 8

Ostrożna szczerość

Rozmowa z Wen Yourenem - korespondentem chińskiej agencji prasowej Sinhua w Warszawie

— Proszę nam przybliżyć na początek istotę chińskiej „pieriestrojki".

— Proces przebudowy datuje się w moim kraju w zasadzie od 1979 roku, a konkretnie od III Plenum XI kadencji Komunistycznej Partii Chin. Reformowanie gospodarki rozpoczęto od rolnictwa, od uregulowania problemów wsi. Istniejący dotąd system tzw. komun ludowych nie ujawniał niestety wysokiej aktywności produkcyjnej rolników. Postanowiono więc zastąpić go koncepcją tzw. dzierżaw rodzinnych. Odtąd tempo wzrostu produkcji rolnej szybko się podniosło.

Znacznie trudniejszy okazał się proces reformowania w innych dziedzinach życia. Tutaj zmiany musiały być z natury rzeczy bardziej kompleksowe, złożone, pełne wzajemnych uwarunkowań. Podobnie jak ma to miejsce w przypadku reformy polskiej, podjęto decyzje o decentralizacji systemu zarządzania, o zwiększeniu samodzielności ekonomicznej przedsiębiorstw, rozwijaniu konkurencyjnej koncepcji rynku wewnętrznego

Oddzielnym zaś zagadnieniem stał się problem cen. Od powołania do życia Chińskiej Republiki Ludowej ceny nie odzwierciedlały realnej wartości towarów. Często nie rekompensowały nawet kosztów produkcji. Powodowało to konieczność ogromnie uciążliwych i ekonomicznie nieuzasadnionych dotacji ze strony państwa. Problem cen a więc i kosztów utrzymania, jest jednak zagadnieniem niezwykle drażliwym społecznie. Nasze władze wykazały przy jego rozwiązywaniu dużą ostrożność. Nie oznacza to wszakże, że zrezygnowano z dokonania tej bolesnej operacji. Prawidłowości ekonomicznych nie da się przecież zmienić. Muszą przebiegać według obiektywnych reguł. W przypadku cen podjęto tylko nieco mniej radykalne działania niż w innych obszarach gospodarki.

Wraz z przebudową ekonomiczną zapoczątkowano także reformy systemu politycznego. W ogólnym zarysie reformy te sprowadzają się do poszerzenia zasad demokracji socjalistycznej. Reforma gospodarcza i polityczna to zresztą dwa nierozdzielne elementy tej samej sprawy. To właśnie zmiany polityczne warunkują przecież tworzenie nowych mechanizmów w systemach zarządzania ekonomią, a więc w dziedzinie ekonomicznych zasad funkcjonowania państwa.

Proces głębokich reform nie jest jednak nigdy procesem łatwym. Dlatego i my napotykamy na tej drodze rozmaite trudności. Stąd bardzo wnikliwie obserwujemy doświadczenia w tej mierze innych krajów socjalistycznych, w tym także Polski. Agencja Sinhua wiele miejsca poświęca polskim przemianom, analizując je i komentując. Dużo o tym piszemy.

— Reforma chińska przyniosła już pewne wymierne efekty. Czytałem niedawno w jednym z czasopism o wyraźnym podniesieniu się standardu życia, zwłaszcza wśród ludności zatrudnionej w rolnictwie. Założenia reformatorskie w pańskim kraju i w Polsce są, jak powiedzieliśmy, zbieżne. Jak ocenia pan perspektywy sukcesu przemian polskich?

— Wola wprowadzenia reform jest ze strony władz polskich bezsporna. Od 1982 roku można zaobserwować znaczny postęp w polskiej gospodarce. Osiągnięto chociażby sukces w odbudowywaniu wzrostu produkcji po uprzednim okresie zastoju czy wręcz regresu. Jestem w Warszawie od 1984 roku i zauważam także wyraźną poprawę w zaopatrzeniu rynku. Mówiąc o podobieństwach polskiej i chińskiej przebudowy, nie możemy wszakże zapominać i o różnicach.

Na początku lat 80. Polska przeszła najpoważniejszy kryzys w swej powojennej historii. Ma to niemały wpływ na złożoność obecnej sytuacji w kraju. Warunki zewnętrzne reformy w Polsce są także odmienne niż u nas. Choćby problem polskiego zadłużenia czy istniejące jeszcze do niedawna ekonomiczne sankcje Zachodu wobec waszego kraju. To wszystko bardzo utrudnia proces porządkowania gospodarki. Co więcej, lękając się zbyt gwałtownego obniżenia stopy życiowej Polaków, władze nie są w stanie przeprowadzić jednorazowo tak głębokich reform, jak tego w istocie wymaga sytuacja i jak prawdopodobnie by sobie tego życzyły. Stąd wiele obszarów życia wciąż pozostaje poza zasięgiem przebudowy. Stwarza to wrażenie jakby dwoistości w systemie funkcjonowania gospodarki i powoduje rozwleczenie efektów przemian w czasie. To z kolei prowadzi do zniecierpliwienia społeczeństwa. Pojawienie się takich właśnie symptomów skłoniło, jak sądzę, rząd do ogłoszenia drugiego etapu reformy, a więc programu przyspieszenia i zradykalizowania całego procesu. Nie jest to wszakże zadanie łatwe, choćby z powodu wspomnianych wyżej uwarunkowań. W każdym razie powodzenie reformy leży absolutnie w interesie tak państwa, jak i narodu polskiego.

— Świat socjalistyczny wydaje się być obecnie w stanie dynamicznych przewartościowań. Podobne procesy nie towarzyszą jednak bogatym państwom zachodnim. Czy i jakie wynikają z tego, pańskim zdaniem, polityczne implikacje?

— Sądzę, że u podstaw przemian gospodarczych w krajach socjalistycznych leżą przede wszystkim inte-

resy narodowe, które są impulsem dokonywanych zmian. Natomiast jest rzeczą oczywistą, iż nie pozostaje to bez wpływu na układ stosunków międzynarodowych. Procesy te są współzależne. Nie widzę tu wszakże żadnych symptomów konfliktowych. Zauważalne jest przecież odprężenie na linii Wschód — Zachód, wspomagające reformy w krajach socjalistycznych i na odwrót. Władze Chińskiej Republiki Ludowej i nasze społeczeństwo z dużym zainteresowaniem obserwują każdy przejaw międzynarodowego odprężenia. Nie widzę więc w zasugerowanej przez pana sytuacji żadnych sprzeczności.

— Wraz z reformowaniem gospodarki i poszerzaniem demokracji zaobserwować można jednocześnie w Chinach jakby swoistą ekspansję zachodniego stylu bycia. Niedawno czytałem, na przykład, opis burzliwie przyjętego przez młodzież koncertu rockowego w Pekinie. Co sądzi pan na temat tego rodzaju zapożyczeń?

— Myślę, że znacznym uproszczeniem byłoby utożsamianie naszego otwarcia na świat jedynie z kopiowaniem zachodnich wzorców zachowania czy z fascynacją muzyką młodzieżową. W istocie chodzi, rzecz jasna, o problemy poważniejszej natury. Uważamy, że w modelu zachodnim, jak zresztą w ogóle w życiu, istnieją określone pozytywy i negatywy. Ere totalnego potępienia mamy już na szczęście za sobą. Chodzi nam o wykorzystywanie i akceptowanie przede wszystkim pozytywnych doświadczeń w dziedzinie zarządzania gospodarką a także wdrażania postępu technologicznego. Państwa zachodnie mają przecież w tej dziedzinie ogromne sukcesy. Natomiast przeciwstawiamy się i przeciwstawiać się będziemy elementom obcym nam ideowo w zakresie stosunków społecznych. Moda ma jednak niewiele wspólnego z tymi zagadnieniami. Myślę więc, że problemu tego nie należy demonizować.

— Trudne przeżycia historyczne łączą i dzielą Chiny i Japonię. Czy funkcjonuje w pańskim kraju „japoński syndrom". Co sądzi pan o technologicznej i cywilizacyjnej eksplozji tego kraju?

— Jak wiadomo, w pewnym okresie historii Japonia dokonała agresji na Chiny. Było to działanie polityczne, nie wynikające wszakże z takiej a nie innej woli narodu japońskiego. A zatem Chińczycy i Japończycy, mimo wspomnianych faktów, zachowali nadal uczucia przyjaźni i wzajemnego szacunku. Pogłębianie tego porozumienia jest możliwe i potrzebne. Stanowi nawet dla nas pewnego rodzaju szansę. Po II wojnie światowej obserwujemy w Japonii istotnie technologiczny i cywilizacyjny boom. Dobre stosunki między naszymi krajami pozwoliły nam część tych doświadczeń spożytkować, zwłaszcza w zakresie nowoczesnych technologii i procesów zarządzania. Słowem, w żadnym wypadku nie należy doszukiwać się u nas jakiegoś „japońskiego kompleksu". Pragniemy, tylko dobrosąsiedzkich, wzajemnie korzystnych kontaktów.

— Tacy politycy jak Mao Tse Tung skłaniają do refleksji nad rolą jednostki w historii. Jaka jest pańska opinia na ten temat?

— Osobiście uważam, że procesy historii tworzy i pobudza naród. Nie jest jednak sprawą obojętną, kto na danym etapie stoi na jego czele. Towarzysz Mao wniósł ogromny wkład w dzieło wyzwolenia narodu chińskiego, w obalenie przestarzałej imperialistyczno-feudalnej struktury państwa, w utworzenie i umocnienie republiki Chin Ludowych, we wprowadzenie w naszym kraju zasad ludowładztwa. Jak każdy wszakże człowiek, on także niewolny był od błędów, a jego decyzje polityczne nie zawsze były jedynie słuszne i szczęśliwe. Najpoważniejszą pomyłką w tym względzie było, moim zdaniem, forsowanie i przeprowadzenie tzw. rewolucji kulturalnej. Człowieka należy wszakże oceniać poprzez pryzmat całokształtu jego dokonań. Umożliwia to zachowanie właściwych proporcji. Patrząc więc w ten sposób na postać Mao Tse Tun-

Żal za utraconą niewinnością

Dokończenie ze str. 7

ma hierarchii, nie może istnieć skala dobra i zła. Człowiek staje się w takim świecie jeszcze jednym przedmiotem, miotanym przez obce sobie, niepojęte i wrogie siły.

Pojawienie się tego rodzaju poglądów nie zasługiwałoby na uwagę, gdyby nie były one tak powszechne i tak dobrze usadowione w czasie, to znaczy — wypowiadane przez pisarzy starszych, średnich i najmłodszych. A to pozwala już mówić o powyższych opiniach jako wyrazie „ducha czasu" i każe zastanowić się, na ile ten czas okazał się bezapelacyjnym regulatorem myślenia. Ale zanim pokusimy się o hipotezę, wróćmy jeszcze do Miłosza.

„Rzeczywistość — pisze poeta — jest więc dla nas w pierwszym rzędzie społeczna, tj. taka, w której ludzie-rzeczy wykonują rozkazy podyktowane przez innych ludzi, niby panów własnego i cudzego losu, ale naprawdę zmienionych w rzeczy przez tzw. konieczności życiowe. W rozumieniu, jak się to wzajemnie zazębia, nie zrobiliśmy dużego postępu i naukowiec, badający wirusy albo wysyłający pojazdy na inne planety, może odnosić się z poczuciem uzasadnionej wyższości do rzekomych specjalistów w zakresie rzekomych nauk społecznych. [...] Rzeczywistość społeczna tym się odznacza, że jest nieprzejrzysta, zdradliwa, że ludzi mnóstwem pozorów każdego, kto jest w nią uwikłany". A zatem to, co powiada poeta o „moralnym obowiązku" literatury, odnosi się nie tylko do powinności artysty, ale każdego, albowiem każdy jest w jakiś sposób „uwikłany". Poprzestańmy jednak na literaturze, gdyż ona stanowi przedmiot tych refleksji.

Otóż przytoczone tutaj poglądy pisarzy trzech pokoleń dokumentują postawę, którą za Miłoszem nazwać można redukcjonizmem oraz nihilizmem poznawczym i etycznym. Pozostaje do rozstrzygnięcia kwestia, czy jest to wynik swoistej ułomności (charakterologicznej? intelektualnej? moralnej?), czy też złożenie wszystkiego na karb tzw. nieprzejrzystości świata rozwiązuje wątpliwości. Jeżeli to drugie, to intuicja podpowiada wiele łatwych przykładów. Nietrudno wskazać przyczyny, dla których od kilku pokoleń upowszechnia się w Polsce przekonanie, jakoby rzeczywistość społeczna poddawała się tylko wyrozumowanej inżynierii, siłom zewnętrznym, a zatem źródeł jej „porządku" szukać należy w jakimś „innym świecie", który podlega odmiennym, niż nasze — ludzkie, miarom i wartościom. Zrozumiałe byłoby więc, że za pomocą miar i pojęć naszych nie potrafimy tej rzeczywistości opisać.

A przecież każda epoka posiada właściwą sobie ideę porządkującą i jeżeli idea ta jest przejrzysta, pisarz nie musi jej sobie uświadamiać, by była ona obecna w jego dziele.

Problem ten przedstawiany bywa jeszcze inaczej. Mówi się mianowicie, że dla nazwania tego, co obserwujemy, brak nam odpowiedniego języka, co oznacza, iż za pomocą języka zastanego, nie sposób opowiedzieć tego, co dzieje się t u t a j i t e r a z.

Oskar Miłosz (stryj Czesława) napisał był, że „stan poezji w danej epoce może świadczyć o żywotności lub wysychaniu życiodajnych źródeł cywilizacji". Jeżeli sąd ten miałby być miarodajny dla całej sztuki literackiej, należałoby przyjąć, że to, co nazywa poeta redukcjonizmem i nihilizmem, byłoby nieuchronną koniecznością, od której nie ma ucieczki. Znaczenie światopoglądu n a u k o w e g o wykraczałoby zatem poza potoczne wyobrażenia o jego skutkach, a jego siła przejawiałaby się także w tym, że poddałby swojej paralogicznej systematyzacji całą hierarchię wartości moralnych. W świecie, gdzie nie stosuje się prawideł matematyki, zakrawa to na paradoks, i celna jest w tej mierze gorzka ironia Zbigniewa Herberta. Bohatera jego poezji, Pana Cogito, „niepokoi problem / z dziedziny matematyki stosowanej" i dochodzi do wniosku, że „gdzieś musi tkwić błąd / fatalny defekt narzędzi / albo grzech pamięci".

Dylemat nieoznaczoności świata jest zatem nierozwiązywalny tylko na poziomie owych „narzędzi", za pomocą których poznaje się i porządkuje świat. Sztuka, a więc także literatura, powiada Miłosz, jest „moralnym obowiązkiem". Jeżeli taki imperatyw kieruje umysłem i piórem poety, rzeczywistość nigdy nie będzie dlań chaosem, a prawda o niej — domeną nauki i ideologii. Przeciwnie — rzeczywistość mówić będzie bardzo doniosłym i wyraźnym głosem.

Andrzej W. Pawluczuk

Czesław Miłosz: Ogród nauk, KUL, Lublin 1986.
Czesław Miłosz: Świadectwo poezji. Sześć wykładów o dotkliwościach naszego wieku. Czytelnik, Warszawa 1987.

ga, oceniamy go jako jednostkę bardzo wybitną, człowieka i polityka dużego formatu.

— Które z klimatów polskiego życia uważa pan za szczególnie interesujące? Co pana w naszym kraju najbardziej poruszyło lub zafascynowało?

— Klimat waszego kraju, podobnie jak ma to miejsce w przypadku innych narodów, tworzony jest i kształtowany przede wszystkim przez ludzi. To oni decydują o jakości i atmosferze życia w danym kraju. Dlatego też pragnę skoncentrować się na tym właśnie aspekcie moich polskich doświadczeń. Nawet jeśli zabrzmi to stereotypowo, muszę tu uczciwie wyznać, że Polacy zafascynowali mnie swoją gościnnością, otwartością i ciepłem w kontaktach z cudzoziemcami. Mile zaskoczyła mnie także sympatia, okazywana na każdym kroku nam, Chińczykom. Pod względem życzliwości wobec świata Polacy to specyficzny naród.

— Komunistyczna Partia Chin jest największą partią komunistyczną na świecie. Liczy ponad 44 miliony członków. Co to znaczy, według pana, być komunistą?

— Wbrew pozorom, nie jest to pytanie łatwe. Szybko można bowiem popaść tu w sztampę czy „pustosłowie". Według mnie, komunista to przede wszystkim człowiek autentycznie przekonany, iż komunizm jest największą szansą ludzkości, że stanowi dla społeczeństw najkorzystniejszą alternatywę. Komunista musi więc wierzyć w swoje ideały. Ta wiara wiąże się także nierozerwalnie z walką w obronie własnych przekonań. I nie mam tu na myśli jedynie walki zbrojnej. Polem tej walki jest przecież coraz częściej pokojowa praca. Ale właśnie w codzienności nie wolno nam nigdy zapominać o pryncypiach. Ogromnie ważą sprawą jest także dopasowywanie marzeń o komunizmie do realnej rzeczywistości. Realizacja naszej idei nie jest przecież sprawą jednego człowieka czy nawet grupy ludzi. To zadanie dla wielu pokoleń. Z tego także trzeba sobie ustawicznie zdawać sprawę. A więc komunista to człowiek ideowy, ale zarazem twardo stąpający po ziemi.

— Czy mógłby pan na koniec scharakteryzować „chiński charakter narodowy"? Jak ma się on do pańskich opinii o Polakach?

— Podobnie jak w przypadku Polaków, nie będę się tutaj bawił w zbędne zawiłości. Sądzę, że Chińczycy są narodem pracowitym, odważnym, a także zdyscyplinowanym. Naród chiński najwyżej ceni sobie własną niepodległość, niezależność własnego losu i dlatego zawsze tak energicznie odpierał i będzie odpierać wszelkie próby obcej agresji czy interwencji. To przywiązanie do narodowej odrębności jest chyba także cechą Polaków.

— Dziękuję panu za rozmowę, która miała charakter dyplomatyczny.

Rozmawiał: **Wiesław Horabik**

Telefon czyli niemożność porozumienia

KIEDY swego czasu Bernard Margueritte mówił w wywiadzie dla „Kameny" o groźbie cywilizacyjnych nieporozumień w przyszłości, nie bardzo rozumiałem, o co mu chodzi. „Nie można dopuścić — powiedział wówczas — aby za lat pięć czy dziesięć francuski i polski uczeń nie mogli się porozumieć nie ze względu na różnice ideologiczne, czy językowe, lecz z powodu różnic w znajomości najnowszych osiągnięć cywilizacji".

Uważałem taką perspektywę za nader odległą, jeśli w ogóle realną. Tymczasem praktyczne wsparcie owej fatalnej wizji nadeszło tyleż szybko, co i niespodziewanie. Objawiło się przy okazji zwykłych odwiedzin u starych znajomych.

Gdy rozpytywałem w trakcie spotkania o bliższych i dalszych sąsiadów (niegdyś także i moich), przykuła moją uwagę, potem rozbawiła, a na koniec wprawiła w zakłopotanie opowieść o pani Annie, której to obie latorośle wyemigrowały swego czasu za ocean. O mamę dbają, nie powiem, paczki często wędrują do Starego Kraju, wędrują także, jak sądzę, przekazy z zieloną walutą. Pani Anna więc, choć cierpi na samotność, nie cierpi przynajmniej wskutek inflacji. Nosi się z pańska i ponadprzeciętnie. A jednak właśnie owa ponadprzeciętność materialna nastraja ją nader podejrzliwie do napierającej zewsząd tzw. szarej masy. Z dawien bowiem dawna przyswoiła sobie także prawdę o chciwości i zachłanności natury ludzkiej, żądnej zawsze pokarać tych, co mają trochę więcej. W drzwiach mieszkania pani Anny, pojawiły się więc przemyślne zawiasy, tudzież zamki przekraczające znacznie liczbę wymaganą przez PZU przy ubezpieczeniu (dwa).

Nie w tym wszakże rzecz, choć owe antyrabunkowe fobie także mają swoje miejsce w niniejszej historii. Coraz częściej bowiem wydaje się pani Annie, że ktoś ją obserwuje, śledzi każdy jej krok, a nawet upewnia się telefonicznie o jej obecności bądź absencji w domowym zaciszu, by fakt ten później niecnie wykorzystać. I ten ostatni właśnie syndrom miał szczególne znaczenie w nadaniu całej sprawie cywilizacyjnego odniesienia.

Otóż pewnego wieczoru, jak opowiadał mój znajomy (przekazując relację samej pani Anny), najpierw rozdzwonił się w jej ozdobionym kryształami mieszkanku telefon, a potem w słuchawce rozległ się głos ni to córci, ni to nie-córki. Po pierwszym spontanicznym wybuchu radości pani Anna, uczulona na wszelkie możliwe tricki potencjalnych włamywaczy, zapytała na wszelki wypadek, skąd rzekoma zamerykanizowana córka telefonuje. Tak właśnie niefortunnie „wypsnęło się" jej to pytanie. Pani Irena (córka pani Anny) wyjaśniła, że telefonuje po prostu z budki, ustawionej w centrum pewnej teksańskiej miejscowości. Teraz pani Anna pozbyła się wszelkich wątpliwości. Zelżyła bezlitośnie sprytną włamywaczkę in spe. Nigdy bowiem nie mogłaby przypuszczać, że w USA (i nie tylko) można z ulicznej budki zadzwonić w dowolne miejsce na naszym ziemskim padole. Wątpliwości pojawiły się dopiero później, bo jednak trudno nie poznać głosu własnego potomka. Po rozwiązanie zagadki przybiegła więc do mojego znajomego, a ten wyjaśnił jej ową niepojętą technologiczną ciekawostkę.

Tak oto dwa pokolenia nie zdołały się prozumieć, a problem telefonu, czy ściślej: telefonicznej budki, urósł niespodziewanie do rangi cywilizacyjnej bariery. Są, jak widać, dwa światy i jedno słońce, o czym wyraźnie informuje przecież Maryla Rodowicz.

Co wszakże na to panowie z lubelskiego WUT-u? Do mojego bloku od czterech lat nie da się przecież doprowadzić trzydziestu metrów kabla. Możliwości techniczne jeszcze nie zaistniały.

Oj, przechera z tego pana Margueritte, przechera.

Piotr Beck

Kajet literacki

Pierwszy wieczór autorski

JAK zawsze, przyjechałem z pracy na niedzielę do domu i zobaczyłem gruby list. To redakcja zwracała mi rękopisy. Jakaś życzliwa Ciocia Klocia napisała, że długo jeszcze w znoju i pocie czoła muszę tyrać jak niewolnik, żeby to się nadawało do druku. Wsadziłem rękopis do kieszeni i pomaszerowałem do „Palomy", żeby przy piwie pomyśleć o swoich sprawach.

Ledwo się pojawiłem w lokalu, zamachano do mnie od stolika, schowanego dyskretnie na półpiętrze za kolumnami. Siedział tam bankowiec Miki i bodajże zaopatrzeniowiec Zdzisio. Nawet jako już nauczyciel na zastępstwa, zaproszenie to uznałem za zaszczytne gdyż chłopcy zrobili maturę trzy lata przede mną, a wciąż obowiązywał autorytet starszych kolegów. Obowiązywał nawet w knajpie. Istotnie, chłopcy rozgryzali takie problemy, o jakich mi się nawet nie śniło. Bankowiec Miki miał proces o ustalenie ojcostwa, a zaopatrzeniowiec występował jako świadek i wyliczył w sądzie wszystkich zalotników procesującej się matki, między innymi siebie samego. (Prokurator ostrym tonem przerwał mu tę wredną wyliczankę i zagroził procesem o zniesławienie.) Podziwiałem ich światowe, burzliwe życie, do którego jako nauczyciel na zastępstwa nie miałem dojścia.

Nagle starsi koledzy, wielkoświatowi wyjadacze, zainteresowali się mną, a raczej papierami, które wydobyłem z kieszeni w poszukiwaniu zapałek. Gdy wyjaśniłem skromnie, że próbuję pisać bez powodzenia — łaskawie zaproponowali, żebym coś przeczytał. Nie miałem ochoty się popisywać, więc Miki czytał po cichu, co chwila wybuchając głośnym śmiechem.

— To jest dobre, śmieszne przynajmniej — zaopiniował bankowiec i dodał tonem kierownika, którym był od kilku miesięcy, bo przegrany proces o alimenty nie przekreślił mu szans w banku: — Już wiem, co zrobimy. Pojedziemy do rybaczek. Weźmiemy taryfę, dobre wino, pogadamy dla odmiany o literaturze. A ty im możesz przeczytać ten kawałek o pedale w koszarach artyleryjskich. To im powinno trafić do wyobraźni.

Zgodziłem się, zresztą w tym nastroju mogłem czytać choćby na rynku pod ratuszem, naprzeciwko mordowni „Ratuszowa". Właśnie pod „Ratuszową" dołączył do nas zwariowany trębacz-solista, który pracował w bykowni, czyli zakładzie unasienniania zwierząt.

Rybaczki były to siostry i kuzynki z wielodzietnej i wielopokoleniowej rodziny, które w różnych latach robiły maturę, zarówno przede mną, jak i po mnie. Zacząłem czytać znany już chłopakom tekst, choć dwa razy nie pokazuje się nawet sztuczek karcianych. Panienki pisaninę moją oceniły równie wysoko jak bankowiec Miki, który nie chciał uznać swojego dziecka, choć miał wuja księdza i pochodził z dobrej rodziny.

Ten pierwszy swój wieczór autorski zapamiętałem jakoś najlepiej. Gdy wracaliśmy od rybaczek szosą przez most, bankowiec wlazł na barierę i maszerował tak niefrasobliwie nad przepaścią. Każdy miał swoje ambicje — on chciał zostać alpinistą, nie pisarzem. Niedoszły alpinista usiłował jednak pomóc niedoszłemu beletryście.

— Wiesz? — przypomniał sobie na tym moście. — Spotkałem w górach jednego dziennikarza. Bombowy facet. Ciągnie jak gąbka, a do bab po prostu drugi Lovelas. Myślę, że on mógłby ci wydrukować coś o tych pedałach albo innej swołoczy.

Dziś wiem, że alpiniści potrafią naprawdę załatwić wszystko, ale nie o to chodzi. Specjalnie na druku mi nie zależało. Ten wieczór autorski natomiast był wyjątkowy, bo nie szukałem rozgłosu a pieniądze miałem z nauczycielskiej pensji. Cóż zresztą za rozgłos mogły mi zapewnić rybaczki? Mogły mnie najwyżej wyśmiewać po kątach. A jednak nigdy potem nie spotkałem takich wspaniałych słuchaczy, krytyków i mecenasów jak bankowiec Miki czy trębacz-solista z bykowni, który zaciągnął nas do siebie na koncert, bo jeszcze nie miał dość niedzielnych atrakcji. Swoją złotą trąbkę trzymał u pani magister Joli, która jego muzykę od miesiąca tolerowała. Potrafiła zrozumieć faceta pracującego w bykowni i grającego na trąbce, bowiem ani praca nie hańbi, ani też marzenia.

Janusz Olczak

Zachód a sprawa polska

Dokończenie ze str. 5

bezspornie polską, mieć zapewniony wolny i bezpieczny dostęp do morza; jego niezawisłość polityczna, gospodarcza oraz całość terytorialna winna być zagwarantowana aktem międzynarodowym". Analizujący te słowa zwracali nie bez racji uwagę, iż prezydent mówiąc o Polsce, użył zwrotu „powinno" (*should*), a nie (jak w przypadku Belgii) bardziej kategorycznego „musi" (*must*), że miało to być niewielkie państwo, obejmujące jedynie Królestwo Polskie, z dostępem do morza przez zneutralizowaną Wisłę z wolnym portem w Gdańsku. Mimo tego potwierdzenie prawa Polski do niepodległości przez prezydenta potężnego państwa — które, przystępując do wojny po stronie koalicji, zgłosiło swe aspiracje do decydowania o powojennym ładzie — miało duże znaczenie polityczne i propagandowe. Koalicja w całości na podobną deklarację zdobyła się dopiero w kilka miesięcy później, gdy rozwiały się plany zawarcia odrębnego pokoju z Austro-Węgrami. Na wniosek Francji, uczestnicy międzysojuszniczej konferencji w Wersalu 3 czerwca 1918 r. stwierdzili: „Utworzenie zjednoczonego i niepodległego państwa polskiego, z wolnym dostępem do morza, stanowi jeden z warunków trwałego i sprawiedliwego pokoju oraz panowania prawa w Europie".

Z sojuszników najbardziej wyraźny program rozwiązania sprawy polskiej posiadała Francja. Dążąc do zdecydowanego osłabienia Niemiec przez amputację terenów należących dotychczas do tego państwa zarówno na zachodzie jak i na wschodzie, widziała w przyszłej i silnej Polsce swą sojuszniczkę w miejsce Rosji. Polska miała być zaporą dla idei rewolucyjnych idących ze wschodu oraz pełnić rolę państwa buforowego między Niemcami a Rosją.

Wychodząc z tych założeń, premier francuski Georges Clemenceau w liście skierowanym do Komitetu Narodowego Polskiego z 5 września 1918 r. oświadczył: „Francja wierna tradycjom i swemu programowi, w porozumieniu ze swymi sprzymierzeńcami nie cofnie się przed niczym by wskrzesić wolną Polskę zgodnie z jej aspiracjami narodowymi i w ramach granic historycznych". Było to najdalej idące i najbardziej korzystne dla Polski oświadczenie zachodnioeuropejskiego męża stanu. O przyszłej Polsce jako państwie „wielkim i silnym, bardzo silnym" mówił też minister spraw zagranicznych Francji, Stephen Pichon. Gdy jednak 2 października 1918 r. zwrócił się on z sugestią do swego brytyjskiego kolegi Balfoura, by odrodzić Polskę w granicach z 1772 r. minister spraw zagranicznych Anglii odpowiedział: „To jest to, czego nie możemy się podjąć". Mimo to w memoriale opracowanym na Quai d'Orsay 20 grudnia 1918 r., jakże różnym od cytowanego uprzednio, już na wstępie podkreślono, iż dla sprzymierzonych, a zwłaszcza Francji, „nie ma zadania pilniejszego, niż jak najśpieszniejsze zorganizowanie silnej Polski".

Plany te delegacja francuska usiłowała forsować na konferencji pokojowej w Paryżu. Napotkała jednak na nieprzejednany sprzeciw Lloyd Georga. Premier brytyjski — w imię starej angielskiej zasady równowagi sił na kontynencie — aby nie dopuścić do hegemonii Francji, sprzeciwił się planom osłabienia Niemiec (którym powierzał rolę „łamacza" fal rewolucji), oddania Polsce Gdańska i Prus oraz Śląska. Przy podejmowaniu przez zwycięską koalicję decyzji o kształcie terytorialnym Polski, rząd brytyjski odegrał negatywną wobec Polski rolę; również przychylniejszy w słowach Wilson ostatecznie poparł koncepcje Lloyd Georga. Osamotniony Clemenceau, reprezentujący zwycięską, lecz najbardziej wykrwawioną i osłabioną wojną Francję, musiał ustąpić. Dla Polski było sprawą wysoce niekorzystną, iż miała pełnić wyznaczoną jej przez Zachód rolę państwa buforowego, nie posiadając do tego odpowiednich możliwości.

Wobec Polski, co winno być rzeczą zrozumiałą Zachód kierował się zawsze własnymi interesami, ewoluującymi i często sprzecznymi, jeśli idzie o poszczególne państwa. W drugim zwłaszcza okresie wojny gdy decydowała się sprawa niepodległości Polski, interesy Zachodu stały się w pewnym stopniu zbieżne z dążeniami polskimi. Trudno też nie docenić przytoczonych tu deklaracji Zachodu w sprawie polskiej wszak wypowiadali je przywódcy państw zmierzających do zwycięstwa, którzy mieli decydować o powojennym kształcie Europy. To pod ciosami koalicji załamały się państwa zaborcze: Niemcy i Austro-Węgry. Dzięki temu, w połączeniu z rewolucjami rosyjskimi, które stworzyły sprzyjające dla dążeń polskich warunki na wschodzie, ukształtowała się korzystna dla Polski sytuacja międzynarodowa. Wykorzystał ją w pełni naród polski, który w 1918 r. nie zaprzepaścił swej dziejowej szansy i po długich latach niewoli wybił się na niepodległość.

Wiesław Sładkowski

Secesja w architekturze Lublina

Alicja Kurzątkowska

OSTATNIE ćwierćwiecze XIX stulecia było okresem pomyślnej koniunktury gospodarczej w Królestwie Polskim. Z sytuacji tej skorzystał też Lublin — trzecie pod względem wielkości miasto Kongresówki. Powstał wówczas Lublin przemysłowy, nowe dzielnice: Bronowice, Kośminek, Piaski ulokowane za Bystrzycą w pobliżu właśnie przeprowadzanej linii kolejowej. Procesom industrializacji towarzyszył rozwój i przekształcanie śródmieścia.

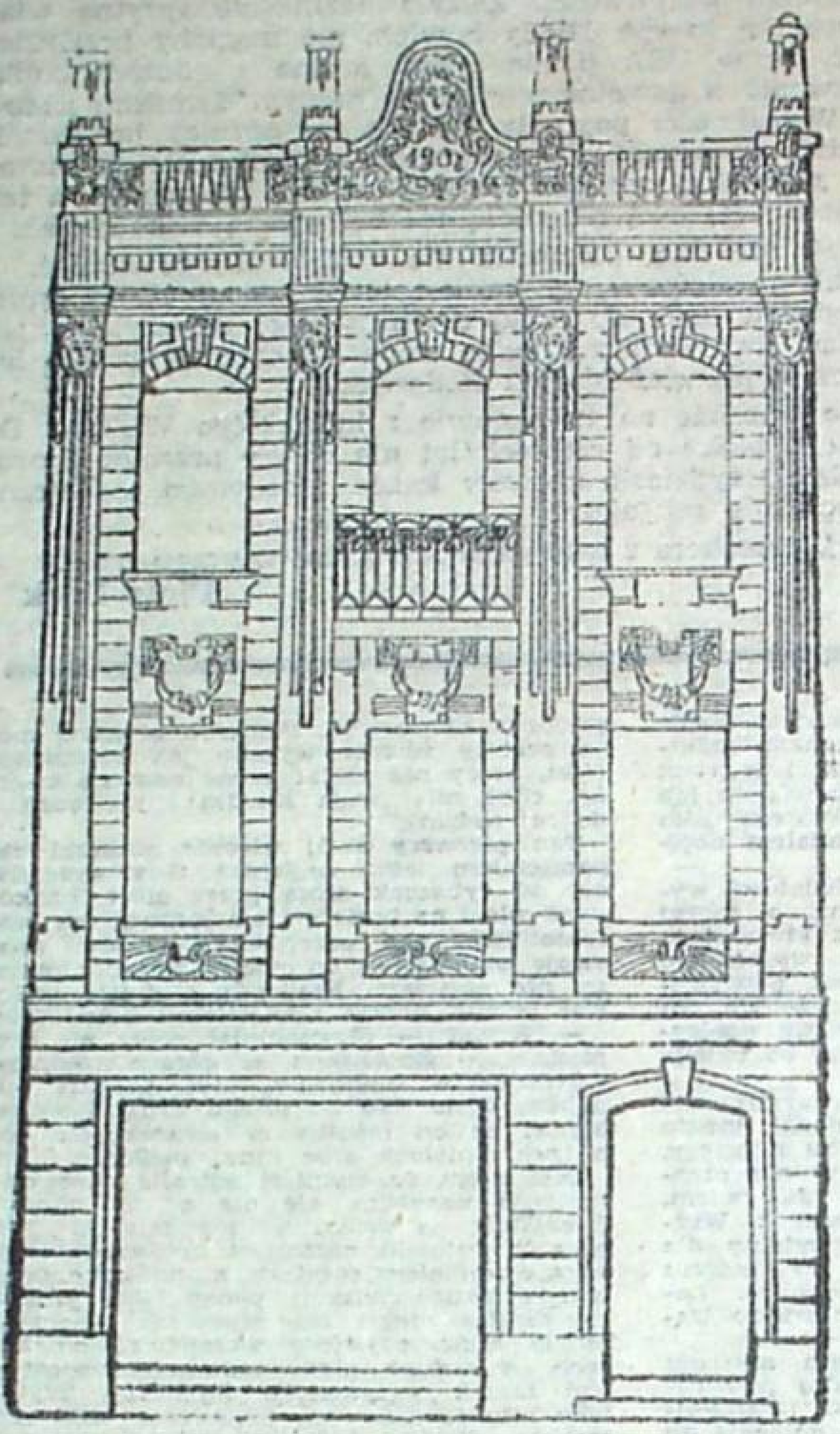

Fasada kamienicy Krakowskiego Przedmieścia 24.
Rys. Karol Karwowski

Już w drugiej połowie XIX w. wzdłuż kierunków komunikacyjnych wytyczonych w ramach przedsięwzięć urbanistycznych lat 1815—1830 zaczęła narastać zwarta śródmiejska zabudowa. Nie powstała ona w sposób planowy, lecz pojawiała się w różnych miejscach. Te jakby wyspowo wznoszone kamienice i gmachy łączyły się z biegiem lat w zwarte, ale zróżnicowane ciągi uliczne.

Po historyzmach i eklektyzmie, na początku XX stulecia dotarła do Lublina secesja. Opanowała ona głównie kamienice czynszowe, typ budowli charakterystycznej dla miasta kapitalistycznego. Domy lokatorskie wznoszone w Lublinie w 2 poł. XIX w., otrzymywały neorenesansowe, neobarokowe lub eklektyczne fasady o charakterze pałacowym. W okresie secesji czynszówka przestaje udawać pałac, nie ukrywa, że jest kamienicą lokatorską. Secesja przyniosła zatem coś więcej niż tylko zmianę wystroju fasady. Ona nadała czynszówce pełną autonomię wśród tematów architektonicznych. Sprzyjała temu zmiana mentalności nowej generacji najzamożniejszych lokatorów, których status społeczny miała wyrażać fasada. Byli to „bourgeois" w pełni świadomi swej pozycji w hierarchii społecznej, nie muszący jej wspomagać szlacheckimi wzorami.

Secesja stała się też przejawem nowoczesności. Choć bowiem nie stroniła od historycznych składników, takich jak portale, wykusze, loggie, attyki czy pilastry, sama kompozycja fasady nie była wzorowana na rozwiązaniach wcześniejszych. W Lublinie fasada secesyjna tym bardziej różniła się od poprzednich, że na początku XX w. nastąpiło podwyższenie skali zabudowy z dwu- do trzypiętrowej.

Można wydzielić pięć rejonów występowania secesji w zabudowie Lublina. Jest to przede wszystkim secesja zgrupowana w samym centrum miasta przy Krakowskim Przedmieściu i placu Litewskim. Przy Krakowskim Przedmieściu secesyjne są domy pod nr. 24 i 66 oraz ciąg kamienic z numeracją 49, 51, 53, 57 i 59. Najbardziej konsekwentne są dwie pierwsze, ale między sobą różnią się zasadniczo.

Dom pod nr. 24 z datą 1907 znajduje się między dwupiętrowymi kamienicami dziewiętnastowiecznymi. Ponieważ został zbudowany na wąskiej parceli, jego fasada jest jakby ściskana przez sąsiadujące domy. Odnosi się wrażenie, że szczyt i sterczyny wypchnięte zostały ku górze. Wystrój elewacji kamienicy nie jest jednorodny, choć z wyraźną przewagą tendencji rokokizującej. Obok motywów kwiatowo-roślinnych, muszli, rogów obfitości, głów kobiecych uwidacznia się to w mięsistym plastycznym opracowaniu ornamentów.

Zupełnie odmiennie potraktowana została kamienica przy Krakowskim Przedmieściu 66 zbudowana w 1911 r. dla doktora E. Wysokińskiego. Reprezentuje ona secesję w wydaniu wiedeńskim, pokryta dekoracją składającą się głównie z elementów geometrycznych: linii prostych, ośmiokątów, kół. Jednym z charakterystycznych motywów jest duża płaska owalna tarcza, pusta i tylko owinięta sznurem spadających kampanul. Tak znamienne dla secesji wiedeńskiej rzędy kwadracików zdobią nie tylko fasadę, ale także kraty balkonowe i balustradę, jaką zwieńczono budynek.

Ciąg kamienic przy Krakowskim Przedmieściu 49—53 i 57—59, tworzący na znacznym odcinku oprawę północnej strony głównej ulicy miasta, ma fasady ukazujące różne odcienie secesji. Na pierwszej z kamienic pod nr 49 zbudowanej w 1913 r. przez lubelską firmę budowlaną „Architekt" dla adwokata Iwańskiego elementy tego stylu widoczne są w licznych wykuszach i balkonach, w użyciu specyficznych motywów wystroju domu. W kamienicy pod nr 51 usytuowanej na narożniku z ul. Krótką secesyjne są kraty balkonowe oraz część wystroju elewacji operującego m.in. motywem słonecznika i wygiętych łodyg. Także faktura ścian mieści się w kategoriach secesji. Czerwono-białe elewacje, będące wynikiem połączenia ceglanego wątku z partiami tynkowanymi, mają na zryzalitowanych narożach pseudorustykę. Część jej „ciosów" wyłożona jest drobniutkimi kamyczkami. Zajmująca przeciwległy narożnik z ul. Krótką kamienica Krak. Przedm. 53 ma również na secesyjny sposób zróżnicowaną fakturę ścian przez użycie żółtej klinkierowej cegły obok powierzchni tynkowanych. Dom zdobią nadto dekoracje roślinne o płynnym konturze, a wieńczy niska attyka z szeregiem spłaszczonych owalnych wnęk.

Kamienice przy Krak. Przedm. 57—59 usytuowane są na parceli między ul. Wieniawską a Ogrodem Saskim, należącej w czasach wznoszenia domów do Dawida i Anny Rotrubinów. Nieco wcześniejsza jest kamienica pod nr 59, której budowę, jak świadczą napisy „ZACZĘTO 1908 — SKOŃCZONO 1909". Sąsiedni dom datowany jest na lata 1909—1911. Mimo wspólnych właścicieli i zbliżonego czasu powstania domy nie są jednorodne, ale w obu elementy secesyjne zostały mocno wyeksponowane. W pierwszej z kamienic (pod nr. 57) koncentrują się one na najwyższej kondygnacji, którą dekorują cztery pełnoplastyczne figury w strojach ludowych, oraz w zwieńczeniu narożnika; w drugiej kamienicy ich przejawem jest palmetowo-maszkaronowy fryz i koliste wieńce.

Na oś Krakowskiego Przedmieścia nanizany został plac Litewski. Zabudowę jego zachodniej pierzei tworzą kamienice przy ul. 3 Maja 6—12. Jest to ciąg domów o charakterze secesyjnym, z których dwa (pod nr. 6 i 12) są dziś niestety prawie pozbawione dawnego detalu. Ale zachowały się jeszcze ich secesyjne balustrady, balkony, kraty, wykroje okien i murów attykowych. Dzięki temu, razem z pozostałymi kamienicami o typowym dla secesji „kostiumie", ta część ulicy 3 Maja tworzy atrakcyjną oprawę placu Litewskiego.

(cdn.)

Żywoty polskich królowych

„POLSKIE królowe" Edwarda Rudzkiego spotkają się na pewno z dużym zainteresowaniem czytelników. Istnieje bowiem zapotrzebowanie na tego typu książki. Zainteresowanie życiem wybitnych jednostek (ale i miernot wyniesionych na najwyższe urzędy i godności) — królów, królowych, polityków, wieszczów narodowych, rewolucjonistów — jest chyba wspólne wszystkim epokom historycznym. Zapotrzebowaniu sprostać może książka nie przeładowana uczonymi rozważaniami a napisana lekkim, gładkim, potoczystym, pięknym językiem. Praca Edwarda Rudzkiego taką szansę ma niewątpliwie. Jego książkę o żonach królów elekcyjnych czyta się jak dobrą gawędę-opowieść.

Książkę otwiera szkic o Annie Jagiellonce, żonie Stefana Batorego, a kończy esej o Marii Józefie Austriaczce, żonie Augusta III Sasa. Dziesięć sylwetek polskich królowych. Wymieńmy je. Przeważają Austriaczki. Austriaczkami były obydwie żony Zygmunta III Wazy — Anna i Konstancja; pierwsza żona Władysława IV — Cecylia Renata; żona Michała Korybuta Wiśniowieckiego — Eleonora oraz żona Augusta III Sasa — Maria Józefa. Dwie polskie królowe pochodziły znad Sekwany: druga żona Władysława IV, a później żona Jana Kazimierza — Ludwika Maria Gonzaga oraz żona Jana III Sobieskiego — Maria Kazimiera d'Arquien. Jedna była Niemką, wywodzącą się z młodszej linii Hohenzollernów: żona Augusta II Sasa — Krystyna Eberhardyna Bayreucka. Dwie wreszcie były Polkami: żona Stefana Batorego — Anna Jagiellonka i żona Stanisława Leszczyńskiego — Katarzyna Opalińska. Dla ścisłości: ta pierwsza to więcej z tradycji, owszem urodzona i wychowana nad Wisłą, jednak jej matką była Włoszka — Bona, a ojcem — spolszczony Litwin, Zygmunt I Stary.

Zauważmy też, że praca Rudzkiego chronologicznie dotyczy czasów, w których córka polskiego magnata Maryna Mniszchówna będzie sięgać po władzę niedostępną jej urodzeniu; i do dziś sprawa ta pozostaje nierozstrzygniętą zagadką, na tle ogólnej bierności kobiety polskiej, czy była pionkiem na szachownicy, czy motorem działania; przejścia jej w każdym razie sięgnęły najwyższego dramatycznego napięcia.

Małżeństwa królewskie — i to nie tylko w Polsce — bardzo rzadko bywały szczęśliwe. Głównie decydowały o nich nie miłość, pożądanie, wzajemne upodobania, lecz polityka i koligacje. W Rzeczypospolitej królowa zajmowała znaczną pozycję. Była koronowana, a po śmierci jej prochy spocząć miały w podziemiach katedry wawelskiej obok szczątków królewskiego małżonka. Wchodziła zatem do polskiej historii i narodowej tradycji.

Wszystkie królowe Edwarda Rudzkiego (z wyjątkiem może Marii Kazimiery d'Arquien, ale i ona ma sporo ciepła i wiele jej autor wybacza) są szlachetnymi monarchiniami, kochającymi żonami oraz mądrymi i dobrymi matkami. To prawda odnośnie królowych jako matek, już mniej jako żon, natomiast portret ich w sprawie piewszej był raczej inny, zaprzeczał tej cnocie. Otrzymawszy jedną z najwyższych godności w Rzeczypospolitej, godność królowej, zamiast wdzięczności i pracy dla tego państwa i tego narodu albo przynajmniej lojalności, w wielu wypadkach prowadziły własną, sprzeczną z interesami Polski politykę, politykę na rzecz Habsburgów, Francji, papiestwa, Saksonii lub sprzyjały takiej polityce.

I o tym wszystkim, co było dobre dla Polski, a co szkodziło jej interesom, autor pisze niewiele. Dowiadujemy się o urodzeniach, ślubach, pogrzebach królowych, dostajemy charakterystyki męża, sióstr, braci, kuzynów i innych krewnych, zbyt skromnie natomiast jest przedstawiona działalność polityczna polskich monarchiń.

A zatem brak mi w książce refleksji politycznej o bardziej szerokim oddechu, brak także jednoznacznej oceny poczynań i działań postaci, oceny dokonanej z pozycji polskiej racji stanu i polskiego interesu narodowego (chodzi tu zwłaszcza o królowe Austriaczki, ale i o polskich władców, głównie Augusta II Sasa i Augusta III Sasa). A może dlatego, że tej działalności politycznej polskich monarchiń brakuje i bardziej obcujemy z osobistymi radościami i kłopotami królowych — książka na tym zyskuje? Po prostu czytelnicy lubią takie gawędy — opowieści o życiu prywatnym.

Adam Andrzej Witusik

Edward Rudzki: *Polskie królowe. Żony królów elekcyjnych.* Instytut Prasy i Wydawnictw „Novum", Warszawa 1987, ss. 432, nakład 40 000 egz., cena 650 zł.

Ekran i widz

Małe jest piękne?

W JEDNYM z niedawnych wywiadów Juliusz Machulski powiedział m. in.: „To, co realne, na ekranie wydaje mi się zawsze sztuczne. W kinie prawdziwa jest tylko konwencja, umowność". A w innym miejscu, zapytany o swoją „Seksmisję", dodał, jakby rozwijając tamten sąd: „Wiedziałem, dlaczego nie podobały mi się filmy science fiction, które oglądałem przedtem. Dziwaczny sztafaż sf. zawsze wydawał mi się idiotyczny. To wszystko powinno być śmieszne, a było strasznie serio... Bo przyznam się, że mnie nawet »Stalker« wydawał się dość nadęty. W takich filmach powinna być radość, zabawa".

Machulski jest osobowością niekonwencjonalną, twórcą oryginalnym, wyraźnie odbiegającym od „przeciętnej" młodego polskiego kina. Machulski pokazuje otaczający go świat z zupełnie innej perspektywy niż wielu jego kolegów po fachu. Każe nam oglądać ów świat przez pryzmat komedii, groteski, ironii. A także ostrej satyry, której nieobce jest wyraźne zabarwienie polityczne. I choć reżyser ten deklaruje się jako zwolennik kina-baśni, to wszak od baśniowości jego filmów ciągnie chłodem straszliwej realności. Tak było w wypadku „Seksmisji" i tak jest tym bardziej obecnie, w ironiczno-satyrycznym, a zarazem jakże gorzkim, „Kingsajzie".

Żeby zrobić film, trzeba mieć przede wszystkim pomysł. Brzmi to jak truizm, ale często zapominamy, że właśnie na tym opiera się istota dobrego kina. Machulskiemu, jak można stwierdzić po czterech nakręconych przez niego filmach, doskonałych pomysłów nie brakuje.

W „Kingsajzie" mamy do czynienia ze światem krasnoludków, mieszkańców baśniowej Szuflandii, którym marzy się przejście do wspaniałego ludzkiego Kingsajzu (King Size, „królewski wymiar", informacja umieszczana na paczkach z zachodnimi papierosami wskazuje, że posiadają one walor daleko odbiegający od powszechnej przeciętności). Na ile ów wymarzony ludzki świat, usytuowany, sądząc po urbanistycznych i architektonicznych realiach, gdzieś nad Wisłą, wybiega ponad przeciętność i czy on sam nie jest aby przypadkiem kolejną Szuflandią innego Kingsajzu — to już oczywiście inna sprawa.

Z Szuflandii, tego spowitego kurzem i pajęczyną światka krasnali, których życie, zdaniem Machulskiego, wcale nie jest takie wesołe, jakby to się mogło wydawać z lektury Braci Grimm lub innych klasyków gatunku, przenikają różnymi sposobami do Kingsajzu tylko nieliczne jednostki. I to, oczywiście, jedynie ze „sfer kierowniczych" (lub do nich zbliżonych) w celu penetrowania ludzkiej społeczności. Przyjmują wówczas „królewski wymiar". A dzieje się to za sprawą specjalnego preparatu, również „kingsajzem" zwanego, którego skład chemiczny jest pilnie strzeżoną tajemnicą państwową. Należy odnotować, że spośród wysłanników do Kingsajzu wyłoniła się pewna grupa osobników, którzy — po spełnieniu swych zadań — odmówili powrotu do Szuflandii, tworząc frakcję tzw. „polokoktowców", podtrzymujących swój ludzki wymiar za pomocą preparatu zastępczego, czyli sprzedawanego w sklepach napoju, zwanego „Polo-Coctą". Jeden z „polokoktowców", genialny chemik Adaś, marzy o „złamaniu" formuły chemicznej cudownego, dostępnego tylko dla wybranych preparatu i oddaniu go na użytek całej uciemiężonej społeczności Szuflandii.

I właśnie owe perypetie naukowca-romantyka, współdziałającego ze swym przyjacielem Olem (powiększonym także do ludzkiego wymiaru mieszkańcem Szuflandii, który „przeniknął" do redakcji kingsajzowego „Pasikonika"), stanowią główną oś fabularną filmu Juliusza Machulskiego. Wokół tej osi reżyser buduje całą masę wątków pobocznych, nieraz pozornie marginalnych, a przecież jakże ważnych za każdym razem dla ogólnej wymowy filmu. Zaś każda ze scen opiera się na feerii gagów, scenicznych „grepsów" i na kapitalnych (raz satyrycznych, innym razem purnonsensowych) dialogach, które wszakże są jakoś dziwnie „zakotwiczone" w naszej współczesnej rzeczywistości. Inna sprawa, że nadaje to trochę filmowi „przechył" kabaretowy. Ale może reżyserowi właśnie o to chodziło...

Osobne uznanie wśród twórców filmu należy się autorowi scenografii Januszowi Sosnowskiemu. A także — kostiumologom, charakteryzatorom oraz ekipie technicznej, która wykonała ogromne, w zwielokrotnionej dwudziestokrotnie skali, elementy dekoracji. Te wszystkie gigantyczne damskie pantofle, aparaty telefoniczne, zapałki, żyletki, stoły, krzesła, maszyny do pisania. Czy też — superczajnik, w którym zażywa kąpieli (to jedna z najbardziej kapitalnych sekwencji „Kingsajzu"!) wszechwładny przywódca Szuflandii, Kilkujadek.

Udało się Machulskiemu zapewnić filmowi na ogół doskonałą obsadę aktorską. Prawdziwy koncert gry dają (poza wcielonym w postać Kilkujadka — Jerzym Stuhrem) Jacek Chmielnik jako dziennikarz Olo oraz Grzegorz Heromiński w roli chemika-wynalazcy Adasia. No i oczywiście Katarzyna Figura — sex-bomba tego filmu, której obecność na ekranie (zwłaszcza w scenach „roznegliżowanych") pozwala zapomnieć o pewnych dłużyznach, jakich Machulski nie potrafił uniknąć. W ogóle momentami dzieje się w „Kingsajzie" trochę „za dużo" i „za długo", co oczywiście nie wpływa na całokształt odbioru owej tylko pozornie — baśni o krasnoludkach, która niewątpliwie będzie miała na naszych ekranach ogromne powodzenie.

A swoją drogą ciekawe, jak zostanie film Machulskiego odebrany przez publiczność w innych krajach? Co dojdzie do tamtejszego widza z tych różnorakich „tionkich aliuzji", które polskiego widza walą niekiedy jakby obuchem w łeb?

„Małe jest piękne" — brzmi jedno z naczelnych haseł władców Szuflandii. Ale nie wszystkie krasnoludki wydają się w to wierzyć.

M. D.

Bez klaki

Zdrada, szantaż nietolerancja...

KOLEJNA Lubelska Wiosna Teatralna zainaugurowana została dwoma przedstawieniami naszego teatru — idącym w atmosferze sukcesu „Mandatem" na dużej scenie i „Poobiednimi igraszkami" w Reducie '85, których to cicha premiera (polska prapremiera) odbyła się w czerwcu ubiegłego roku. Jest więc okazja, aby nadrobić to przemilczenie, szczególnie, że wspomniany spektakl jest znakomitym kontrargumentem na powszechne narzekania iż młodym nic się dzisiaj nie chce, a zwłaszcza pracować.

„Poobiednie igraszki", sztukę argentyńskiej pisarki polskiego pochodzenia Romy Mahieu, przetłumaczona przez Zofię Chadzyńską, wyreżyserował Jacek Gierczak a więc aktor — jak to się mówi jednym tchem — młody zdolny, debiutujący tym przedstawieniem w nowej profesji. Pokierował jeszcze młodszymi od siebie ludźmi — adeptami teatralnymi dla których „Igraszki" były pracą warsztatową (grają: Wojciech Dobrowolski, Marek Fabian, Marek Grabowski, Iwona Jarzyna, Alina Kołodziej, Anna Magalska, Marek Milczarczyk, Zbigniew Wróbel).

Reżyser dokonał trafnej obsady, znajdując doskonałą zbieżność między warunkami zewnętrznymi odtwórców a portretem psychologicznym kreowanych postaci. Zadanie to tym trudniejsze, iż aktorzy muszą przezwyciężyć swą obecną fizyczność gdyż ci młodzi, ale przecież dorośli ludzie wcielają się tutaj w kilkuletnie dzieci. Oczywiście nie tylko o sam wygląd idzie, jeszcze ważniejsza sprawą jest wejście w dziecięcy typ psychometoryczny z ową nadruchliwością i nadekspresją słowną. Bardzo łatwo przy takiej pracy o niezamierzony efekt komediowy, o wrażenie skeczu i wygłupu. Tu szczęśliwie udało się tego uniknąć. Powstały na scenie światek pozwala uwierzyć w jego autentyzm i przez blisko półtorej godziny żyć jego problemami.

Ośmioro aktorów tak dzieli między siebie zadania że nie ma na scenie „miejsc martwych" i ról mało ważnych, kiedy jedni grają a inni tylko statystują — jak często bywa. W inscenizacji tej przecież nie ma tradycyjnie rozumianego podziału planu. Kolejne zmiany „centrum akcji" odbywawą się nieustannie, czego dowodem staje się naturalna żywotność dzieci i ich ograniczona niezdolność do dłuższej koncentracji na czymkolwiek. Ta cecha wykorzystana przez autorkę, po czym reżysera i wykonawców, służy dynamizmowi scenicznemu dzieła, co jest tak istotne ponieważ przez cały spektakl aktorzy ani raz nie schodzą ze sceny i ani na chwilę nie zapada kurtyna.

Dopiero w tak przekonująco skonstruowanych realiach mógł się z całą siłą ujawnić i być przez widza odczytany dramat. Dramat zbudowany na kontraście dwu obrazów dzieciństwa — tego „na pierwszy rzut oka" kolorowego i rozszczebiotanego oraz rządzonego przez brutalne prawa i bezwzględne stosunki jakie ujawniają się przy dłuższym oglądzie. Nawet scenoria akcji (dzięki scenografii Ireneusza Salwy) zdaje się podkreślać te dychotomię — z huśtawką, piaskownicą i ławeczką w radosnych barwach sąsiadują nieodzowne w naszych realiach, szare kubła na śmieci. A w gwar placyku wdziera się co pewien czas przeraźliwy hałas wielkomiejskiej ulicy (efekty akustyczne pomysłu Mieczysława Mazurka).

Tak też odsłaniają się drugie oblicza małych bohaterów. Dziecięca ambicja przewodzenia grupie zamienia się w potrzebę poniżania innych i urasta do tyranii. Zdarza się, że reakcja na nią jest próba czynnego przeciwstawienia się, ale najczęstsza odpowiedź stanowi cała skala konformistycznych zachowań. Widzimy więc okrucieństwo, czynione w imię poczucia wspólnoty, skrywane za dziecięcą naiwnością jakże niewiarygodna w przedstawionej sytuacji. Zdrada i szantaż, nietolerancja jawią się w „Poobiednich igraszkach" jako zatrważające dziedzictwo, przejmowane od dorosłych.

Z tego typu teatrem oskarżycielskim mieliśmy możność zetknąć się w Polsce wcześniej chociażby dzięki słuchowiskom Ireneusza Iredyńskiego, jednak eskalacja okrucieństwa nie poszła w nich tak daleko. Obnażając te same mechanizmy, argentyńska dramatopisarka sięgnęła po najmocniejszy środek wstrząsu — śmierć dziecka, po to, aby wzmocnić ostrzeżenie.

Magdalena Jankowska

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wiśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jański (sprawy literackie), Ireneusz J. Kamiński. Redaktor techniczny — Ewa Dybek korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 6 tel. 255-30.
Adres redakcji: 20-029 Lublin ul. Sułodowskiej 1/1
Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93 sekretarz redakcji 218-32 dział publicystyki i literacki 275-35. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin skrytka pocztowa 231 polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 961.11.05.1988 r. A-4.

Nasz podwórkowy problem

WSZYSTKO zaczęło się od Moczydlaka. Wybiegł na podwórko i stwierdził, że zginęło mu pół litra. Przynieśli z kumplem dwie butelki, a jest jedna. Co prawda była to ul. Ostatnia, ale kradzieże nie miały tu nigdy miejsca. Po chwili wybiegła stara Kuklakowa i zaczęła wrzeszczeć, że zginęło jej 19 butelek. Gwarno zrobiło się w kamienicy. Pozostali mieszkańcy zaczęli sprawdzać, czy czegoś im nie brakuje. Dwie chwile później zapanowała konsternacja, okazało się bowiem, że innym także zginęły różne dobra. Kuklakowa wrzeszczała, że to pewnie dzieciaki podprowadziły. Te się jednak nie przyznały, a wierzyć im należy, bo jak ta stara krzyczy, to aż się koszulka filcuje, a krem do golenia sam wyciska, i nie ma siły, co by się człowiek nie przyznał.

W tym zamęcie młodszy łobuziak od Gawlaków zawołał:

— Ooo! Tam! To ta chmura zabrała!

Wszyscy zobaczyli kilka metrów od kamienicy coś na kształt wydętego cumulusa. Od dołu było koto czarnogranatowe, w środku przechodziło w mdły fiolet, a na górze szare.

Sytuacja była niepokojąca. Stara Durbalowa przeżegnała się i stwierdziła, że to może jaki kwestarz przez Pana Naszego przysłany, co na cele dobroczynne pobiera, ale nikt nie dał temu wiary.

— To jest chudy Robin, co zabiera bogatym, a daje biednym — odkrywczo zawołał starszy łobuziak.

— Cicho, głuptaku — rzekła Kuklakowa. — Kto tu u nas jest bogaty. No chyba, że Wasiele, co syrenkę mają. A ta cholera zabiera wszystkim, nie patrzy.

— A może to jest ten... no... nawis inflacyjny, który pochłania wszelkie nadwyżki. W telewizji przecież mówili — pochwaliła się wiedzą Górniakowa.

Ten nowy spod piątki stwierdził, że może to być obłok znad naszych zakładów chemicznych. Rozgrzane opary substancji chemicznych zasysają różne przedmioty...

W tym czasie przyjechał starszy syn Durbalowej. Popatrzył i powiedział, że to być musi UFO. Próbował się z nimi dogadać nawet po francusku coś gadał, ale obłok tylko się wydął i nic.

— Jak trzeba dać w łapę, to się da — zaproponowała Kuklakowa. W tej samej chwili zniknął jej z kieszeni, chyba ze strachu całkiem zielony, generał Bem.

Młodszy z łobuziaków strzelił z procy w kierunku chmury, ale ta odbiła kamień, który w powrotnej drodze pacnął małego w łeb. Wrzeszczeć zaczął, aż ojciec przyłożył mu siekierą, bo ją właśnie miał pod ręką.

— To jest sprawka Gargamela. Bez Papy Smurfa nie damy rady — z przekonaniem stwierdził mały.

— Oddaj ty te nasze półlitrówe ty, ty... — nie dokończył Moczydlak, bo przez nieuwagę wdepnął w psie odchody. Wkurzył się, to było widać. Pogadał chwilę z kumplem i gdzieś pobiegli.

Sytuacja była dramatyczna. Chmura mogła przecież kontynuować swój niecny proceder. Trzeba było działać szybko. Ale jak? Ktoś zaproponował, aby wezwać urzędnika; inny, żeby po księdza posłać. Ostatecznie przeważyła opinia, że na takie draństwo potrzebna jest Milicja.

Funkcjonariusze przyjechali niebawem. Wszyscy zaczęli tłumaczyć, co się stało. A Kuklakowa to tak wrzeszczała, że choinki na mundurach zwiędły, pałki się powyginały, a pies wpadł jak opętany do „gazika", zatrzasnął się i tylko warczał zamiast silnika. W tym momencie otworzyła się klapa na dachu kamienicy i najpierw pokazała się tzw. sikawka, a potem łeb Moczydlaka.

— Dawaj Franek! — krzyknął do kumpla.

Po chwili porządnym strumieniem zaczęła lać się woda, wprost na chmurkę. Ta zaczęła się kręcić, nadymać, wykrzywiać. Jaśniała, a za chwilę ciemniała. A Moczydlak lał wodę z góry, aż miło popatrzeć, lał jak trzeba. W pewnym momencie zebrani usłyszeli dziwny odgłos, a wokół zaczął się rozchodzić charakterystyczny ostry zapach. Jakby się odbiła wczorajsza, przypalona zupa regeneracyjna z wkładką. Po chwili nastąpiło kolejne jakby tąpnięcie, a groźna dotąd chmura, pieprz... spadła z trzaskiem na ogródek.

Nastąpiła chwila ciszy. Kłęby oparów unosiły się szybko ku górze, ukazując zaradność i przedsiębiorczość mieszkańców naszej kamienicy. Czego tam nie było! Dywany, radia hi-fi i te zwykłe, lenteksy, alkohole, gąsior zacieru, papier toaletowy i wiele innych atrakcyjnych towarów. Ha! A w jakich ilościach! W taki oto sposób mieszkańcy kamienicy chcieli wkroczyć w ten nowy 1988 rok, ale póki co, wkroczyli funkcjonariusze, przystępując do rutynowych czynności.

Hm. Ludzie to sobie nawet w trudnych czasach jakoś radzą. Pogłówkuje taki, podrapie w głowę i załatwi albo wykombinuje. Nawet Moczydlak wykazał inicjatywę i zaradność, wpadając na genialny pomysł załatwienia tej chmurki. Inna sprawa, że aby tę inicjatywę i zaradność wyzwolić, musiał wdepnąć w gówno...

Swoją drogą to nie sądziłem, że obfite i pod dużym ciśnieniem lanie wody z góry może tak szybko rozwiązać nasz podwórkowy problem.

Wiesław Pomorski

Poczta literacka

DOPRAWDY, sam sobie nie umiem odpowiedzieć: odczuwam ulgę, że odchodzę na należną mi z racji wieku i wysługi lat emeryturę, czy przeciwnie — smutek, żal? Oba bowiem uczucia i odczucia są we mnie obecne.

Ileż to razy w redakcji, a także wśród przyjaciół poza nią, mówiono o najnowszej książce innego pisarza polskiego lub obcego! A ja? Słuchałem jedynie, chłonąłem mądre osądy, ale wiedziałem, że tę powieść lub tomik poezji przeczytam nie prędzej, jak w najbliższe święta, a już najpewniej dopiero w czasie urlopu. Przecież co tydzień nadchodziły dziesiątki listów, niekiedy paczuszek z rękopisami, a jeśli los był łaskawszy — z maszynopisami. Nie zawsze były to oryginały, najczęściej odległe, mało czytelne kopie. Musiałem to czytać raz i drugi, aby wyrobić sobie pogląd, móc odpisać, odpowiedzieć w Kamenowej „Poczcie Literackiej".

Wiedziałem też, że w czasie piątkowego lub wtorkowego dyżuru pojawią się niektóre autorki lub autorzy, by bezpośrednio porozmawiać o swoim pisaniu. Jedni odchodzili pokorni, starając się pogodzić z bezwzględnym werdyktem niżej podpisanego, inni z odrobiną otuchy, zgodą na dalszą pracę nad obłaskawianiem słowa, a bardzo rzadko młodzi żegnali się z nie skrywaną radością, bo za dwa miesiące, bo może za pół roku ukaże się debiutancki wiersz albo opowiadanie.

Ja sam jednak pozostawałem smutny, bo wiedziałem, że i w czasie urlopu nie przeczytam tylu prawdziwych książek wybitnych pisarzy Polski i świata, bo dziesięciu młodych lub prawie młodych poetów przyniosło mi znowu teczki pełne wierszy, prozaicy zaszczycili maszynopisem powieści lub zbiorów opowiadań, a ja pragnąłem wziąć w tym czasie do rąk najzwyklejszą książkę, ale już wydrukowaną, o której się pisze w czasopismach i mówi lub mówić będzie!

A więc ulga i radość, bo teraz rządzić będę własnym czasem i lekturami. Ba, może nareszcie będę mógł pełniej realizować własne plany literackie?

Równocześnie jednak nawiedza mnie w tej chwili smutek i żal. Przecież w „konfesjonale" Kamenowym, dawniej w piątki, a ostatnio we wtorki, spowiadałem dziesiątki osób, najczęściej młodych, z tego, co odczuwali potrzebę powiedzieć mi bezpośrednio, a z listów i tych pakunków z utworami do czytania, na które się wyżej skarżyłem, dowiadywałem się wiele więcej niż kto inny. Oni mi ufali, zawierzali swoje tajemnice i nadzieje, także te pozaliterackie. Wzajemnie więc sobie coś dawaliśmy.

Około sto debiutów na łamach „Kameny" i jej „Stron", siedemnaście skutecznych rekomendacji w wydawnictwach, które to wsparcia zaowocowały książkami, a dalsze dziesięć zestawów poezji i prozy warte jest druku, ale czeka na lepsze czasy. Jeśli więc w przyszłości ujawni się spośród tych najzdolniejszych gości Działu Literackiego „Kameny" choć jeden Czechowicz naszego czasu, trudy i niedogodności tych spotkań nie okażą się syzyfowe. Niektórzy spośród „przybyszów" przeszli drogę z moimi poprzednikami: Zygmuntem Mikulskim, Henrykiem Pająkiem, a w końcu ze mną, zanim zaowocowali własną, samodzielną książką, sukcesami ogólnopolskimi i lokalnymi. Nowi tej samej opieki oczekiwać będą od mojego następcy na tej samej działce. Także im życzę sukcesów.

Wielu, bardzo wielu nie doczekało się i nigdy nie doczeka własnego debiutu na łamach „Kameny" ani gdziekolwiek. Niech nie mają o to do mnie żalu. Myślę jednak — i to im uczciwie mówiłem lub pisałem — że samo uzewnętrznienie uczuć w kajecie lub na luźnych kartkach papieru może okazać się dla nich terapią psychiczną i duchową, stanowić dużą wartość osobistą, niekiedy rodzinną. Przede wszystkim czyni ich bardziej wrażliwymi, zbliża do odbioru literatury. A więc i oni zyskują, nawet grafomani.

Serdecznie żegnam się więc z tymi, którzy odwiedzali Dział Literacki „Kameny" lub też zawierzali mi własną twórczość korespondencyjnie.

Tadeusz Jasiński

Krzyżówka nr 11 z szyfrem

Poziomo: A. niezbędność ▲ oczekiwanie w odosobnieniu, C. trop ▲ urzędowe przytaknięcie ▲ ogon królewskiej sukni, E. choroby wewnętrzne są jej specjalnością ▲ urzędowa pieczęć ▲ sprawdza teoretyka i dostarcza mu materiału, G. szczerość, nieskomplikowanie ▲ rzadkie dziś imię żeńskie ▲ ułatwia podnoszenie dużych ciężarów, I. z powodzeniem zastępowały srebra na stole ▲ autor „Rękopisu znalezionego w Saragossie" ▲ symbolizuje chudość, K. miara długości ▲ nauka o surowcach leczniczych ▲ włosowe sploty, M. brzęczą głośno wieczorami wśród drzew ▲ wieś w woj. opolskim słynna ze Stalagu VIII B i VIII F.

Pionowo: 1. do starej hazardowej gry ▲ formacja drużyny piłkarskiej, 3. miasto akcji Iliady, 4. wielkie państwo w Azji ▲ źródło ciepła, 6. przyrząd do zmiany wielkości rysunków, 8. litera muzyczna ▲ szpalta ▲ stop miedzi, 10. głob ziemski ▲ prowadzi pług, 11. już wybrany, ale jeszcze nie pełniący funkcji, 12. stare miasto nad Wartą w woj. poznańskim ▲ napiwek dla Charona, 13. np. kciuk, 14. wieszcze widzenia ▲ taka kratka do haftu, 16. pole walki sportowej ▲ pieśń uroczysta ▲ na głowie niektórych ptaków i modnisiów, 18. organizacja telewizyjna państw Europy Zachodniej, 20. miasteczko dziecięce na Krymie ▲ np. Wiślany lub Kuroński, 21. państwo, wyspy i głębina, 23. podpisywał się czasem El..y ▲ niewielkie miasto w Australii z seriali telewizyjnych.

SZYFR

A14. C7. E15. G21. I12. C1. A11 / G17. L12. M23. A6. C14. E22. E2. D4. C11. K14. K23. A15 / J18. I5. E9. G10 / K16. M18. E19. G12. B14. C22. K9 / C23. A4. C18. G16. F18. I17. A1. I10. A18. F21. M13. K21. A10. J16. C17 / C21. M10. L8. C13. L16 / G23 / A21. B16. C15 / C6. G2. E11. K4. G6. K13. I21. C8. I7. M20. M6 / B10. A9. K20. A22. G3. B12. M9. E1 /.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 1000 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 1 Z SZYFREM

Poziomo: balwierz, ładownia, szczęście, maszkary, buzdygan, Przesieka, arogant, minaret, Azja, Kant, ucho, Nike, wina, brać, twór, plik, fanatyk, podmiot, bergamota, Katmandu, Rzeczyca, tąpnięcie, realista, składacz.

Pionowo: bomba, fakir, racja, lasso, Netta, głowa, iskra, traki, Nancy, zsyp, akt, buta, Rozewie, dzieła, regent, uścisk, pamięć, konwikt, Łeba, tik Ares, Idaho, Ordon, dycha, album, Niger, iżyca, Erato, agnat, tkacz.

SZYFR

Kiedy kobiety najczęściej płaczą? Wtedy kiedy robią to, czego postanowiły nie robić.

Stanisław Dygat „Disneyland".
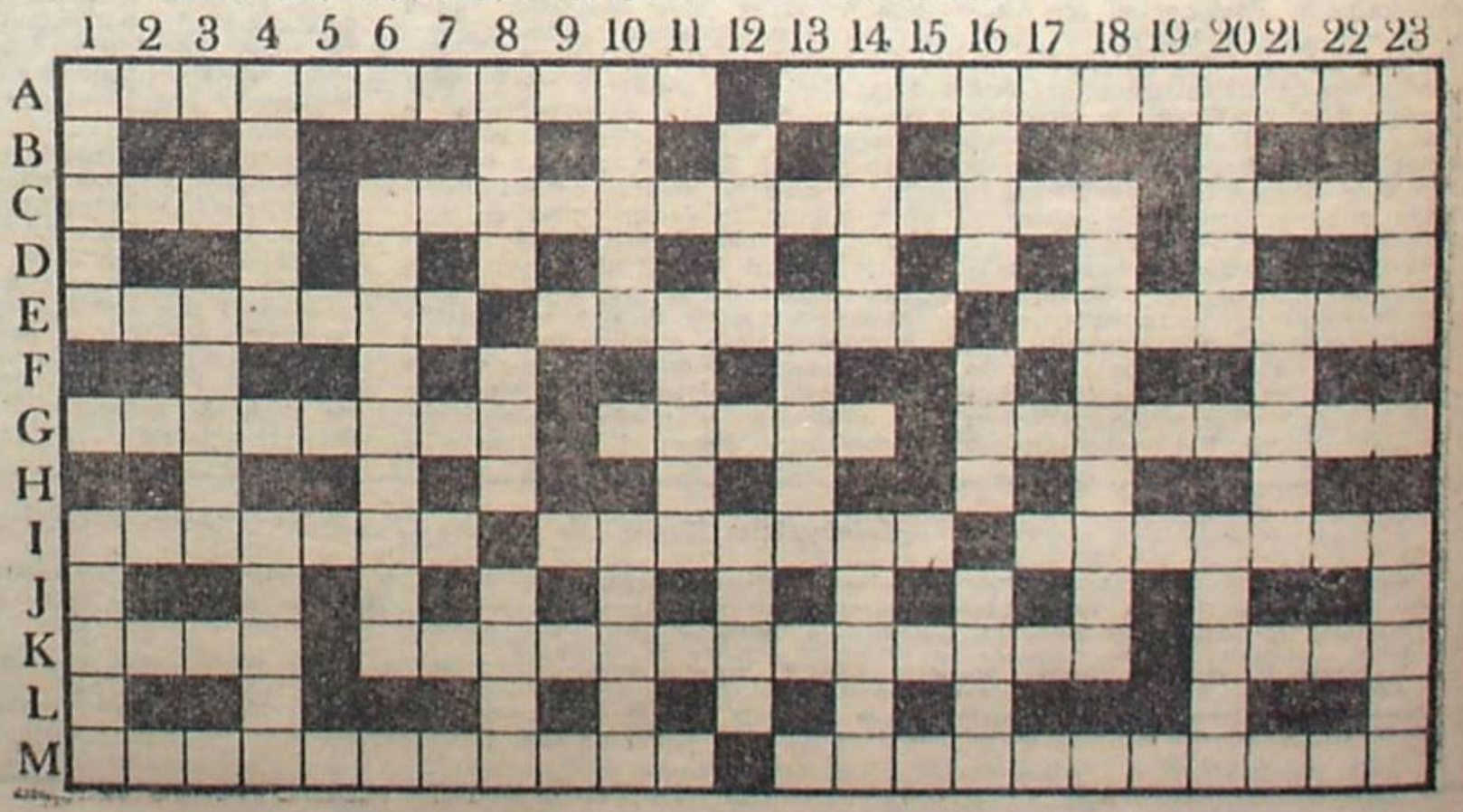
Nagrodę wylosował Marian Kukuryka, ul. 22 Lipca 16 m. 9, 21-010 Świdnik.